

ROLA

Rok V.
Kraków, dnia 7 maja 1911 r.
Nr. 19.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Królowa Korony Polskiej.

W pierwszą niedzielę maja obchodzi Kościół w kraju naszym już rok trzeci osobne święto ku czci Najświętszej Maryi Panny pod tytułem Królowej Polski. W uroczystość tę serdeczniej i żywiej odzywają się w piersiach polskich uczucia przywiązania i miłości i błagania o pomoc zasyłane przed tron naszej Królowej. W dniu tym odświeża się to wiekopomne przymierze między Maryą a Polakami. Wzmacniają się na dalsze szybkie lata zadzierzgnięte węzły wiernej służby u Pani Niebios. Myśl polska przebiega mimowolnie uleciałą przeszłość i kołysze się nadziejami schowanemi w zagadkowej przyszłości.

Cześć dla Najśw. M. P. wraz z wiarą katolicką weszła w sam rdzeń narodu, stała się częścią składową duszy polskiej, wycisnęła swe znamię na zwyczaju i obyczaju naszym.

Historya nasza przez długie wieki jest jakby historyą Maryi w narodzie. Między Maryą a narodem stanęło jakby przymierze na dobrą i złą dolę.

Naród nasz wziął ze sobą Maryę, jako swoją Opiekunkę i Panią i śpiewał Jej od zarania swych dziejów pieśń chwalebną »Bogarodzico«. Śpiewał ją w pokoju, śpiewał w wojnie. Dusza polska wyśpiewała tyle pięknych i tyle tkliwych pieśni ludowych, prawdziwie pięknych, na ile się żaden naród nie zdobył. Najwięksi nasi poeci wkładają na Jej czoło najpiękniejszą koronę poetycką, na której płoną najdroższe dyamenty i świecą najczystsze rubiny naszej poezyi.

Wziął Maryę naród nasz ze sobą i fundował ku Jej czci katedry — najstarsza gnieźnieńska, założona przez Mieczysława I. nosi Jej imię — kościoły, klasztory, zdobił domy i piersi Jej wizerunkiem, rękę umacniał różańcem, obrazy Jej pokrył dyamentami, osuł perłami.

Słowem, cała Polska od dawien dawna zaciągnęła się w Jej służbę i pobożni królowie i rycerstwo i szlachta, mężczyźni, niewiasty i lud siermiężny.

Marya odpłacała się również narodowi za tę wierną służbę. Już Kazimierz Odnowiciel za Jej opieką odzyskał utracone królestwo; Bolesław Krzywousty w uroczystych modłach wzywał w licznych swych rozprawach wojennych Jej pomocy; Łokietek w Wiślicy wołał do Niej o pomoc i usłyszał odpowiedź: wstań, ufaj, zwyciężysz! I zwyciężył. Niejpiękniejsze karty naszych dziejów od Lignicy po Chocim i Wiedeń są dowodem opieki naszej Królowej.

A chyba ta opieka nigdy nie była wyraźniejszą, jak kiedy Polska za króla Jana Kazimierza zanurzyła się w falach szwedzkiego, pruskiego, kozackiego, rosyjskiego, węgierskiego i domowego potopu. Zdawało się wówczas, że wszystko już stracone i wolność i wiara i honor narodu. Pomoc w tym ucisku przyszła od Boga przez Maryę.

Naród wdzięczny przypadł wraz z królem dnia 1 kwietnia 1656 roku przed obrazem Najświętszej Maryi Panny we lwowskiej katedrze i tu wszyscy przez znane śluby Jana Kazimierza obrali uroczyście Maryę za Patronkę i Królowę narodu polskiego, ślubowali po wieczne czasy szerzyć i utrzymywać w narodzie cześć Chrystusa i Jego Matki, nie dać więcej powodu do łez włościanom i wymierzyć im sprawiedliwość.

Jak długo naród wiernie dotrzymywał poddaństwa swej Królowej, naród się trzymał zdrowo i słynął.

Dopiero w ośmnastym wieku naród zaczął się zwalniać z zaciągniętych warunków przymierza ze swą Królową. Fałszywie pojęta wolność, śpiewki pijackie, brzęk grosza judaszowego, śmiech szyderczy z przysięgi małżeńskiej, przygłuszały pienia ku czci Maryi. Skutkiem upadku wiary i obyczajów nastał sierocy stan dzisiejszy narodu.

I jeśli pragniemy, by jasna, wolna przeszłość wróciła nam znowu, odnowić nam wypada przymierze z Maryą, być godnymi jej poddanymi, spełniać śluby Jana Kazimierza, które jako dług narodowy ciężą na każdym stanie, na każdej rodzinie i każdej jednostce.

Dług ten każe nam utrzymać i pomnażać na wszystkich ziemiach naszych cześć i chwałę Zbawiciela i Najświętszej Jego Matki, jako Królowej i Pani narodu naszego.

Gdy ta cześć ku Maryi Pannie rozpowszechni się i wzmoże wśród synów całej Polski, wtedy i Ojczyzna nasza wstanie wielka i potężna. Ale trzeba nam wytężyć ku temu wszelkie siły nasze, trzeba nam skupić ducha u tronu Tej, którą obraliśmy sobie za Patronkę i Orędowniczkę i tych ślubowań złożonych Matce naszej wiernie i stale dotrzymywać po wszelkie czasy. Wtedy, choćby całe piekło szatanów stanęło do walki, my zwyciężymy!

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

—x—

6. Przygotowania do gonitw.

W przeddzień igrzysk, popołudniu, przyprowadzono do miasta tabor wyścigowy Ilderima i umieszczono go w zabudowaniach obok cyrku.

Jednocześnie wiódł szeik inną karawanę. Ta nie miała nic wspólnego z igrzyskami. Uzbrojona służba, luźne konie, objuczone wielbłądy, bydło i owce, czyniły wyjście jego z Gaju podobnem do wędrówki narodów. Ludzie po drodze śmiali się z tej dziwacznej procesyi; lecz, pomimo swej drażliwości, stary szeik nie urażał się wcale temi drwinami. Niech się śmieją Rzymianie, niech miasto się bawi, sądząc, iż tak uroczyście wyrusza się na gonitwy, cóż go to obchodzi? Następnego poranku cały ten orszak będzie na pustyni, unosząc ze sobą wszystko, cokolwiek było cenniejszego w Gaju. Tak wracał on do rodzinnej ziemi. Namioty były złożone; za dwanaście godzin będzie poza obrębem pościgu. Nigdy człowiek nie jest bezpieczniejszym jak wtedy, gdy się zeń śmieją. Przebiegły Arab wiedział o tem.

Obaj z Ben-Hurem nie przeceniali wpływów Messali. Pewni byli, że aż do wyścigów pozostawi ich w spokoju. Gdyby został w nich zwyciężonym, a zwłaszcza gdyby porażkę zawdzięczał Ben-Hurowi, wówczas w gniewie i zawiści gotów jest nie czekać na odpowiedź Gratusa i wywrzeć straszną zemstę na swym szczęśliwym współzawodniku. Aby temu zapobiedz, sprzymierzeńcy ułożyli plan nader zręczny. Jechali teraz spokojni, zabezpieczeni od pościgu.

W drodze spotkali Mallucha, który oczekiwał na nich. Wierny sługa nie dał niczem poznać po sobie, że wie o wypadkach i postanowieniach, zapadłych ubiegłej nocy. Podał szeikowi pismo, mówiąc:

— Oto jest program igrzysk. Wymienione są w nim twoje konie. Jest tu także porządek gonitw. Nie czekając dłużej, mogę ci powinszować zwycięztwa. I tobie, synu Arriusa, składam powinszowania. Teraz nic już nie może przeszkodzić spotkaniu twemu z Messalą.

— Dziękuję ci Malluchu! — rzekł Ben-Hur.

— Twoja barwa jest biała, Messali szkarłatna ze złotem. Dziś już można ocenić, która z nich będzie miała przewagę. Chłopcy roznoszą białe wstążki po ulicach. Jutro nie będzie ani jednego Żyda, ni Araba, coby się nie przystroił w ten kolor. W cyrku galerye będą podzielone między białą i czerwoną barwę.

— Galerye, być może, ale nie trybunał ponad Bramą Pompejańską.*)

— Istotnie, tam szkarłat i złoto panować będą niepodzielnie. Lecz jeśli zwyciężymy — twarz Mallucha rozjaśniła się na samą tę myśl — jeśli zwyciężymy, jakże drżeć będą ci pyszni dostojnicy!... Pomiatają oni wszystkiem, co nie jest rzymskiem i przy zakładach stawiać będą za Messalą, ponieważ jest Rzymianinem.

— Jeszcze jedno słowo, panie mój! Wziąłem wymiar rydwanu Messali. Oś osadzona jest o całą dłoń wyżej nad ziemię, niż u twego wozu.

— O całą dłoń! Aż tak wiele! — zawołał z radością Ben-Hur.

Pochyliwszy się nad Malluchem, mówił szeptem:

— Jeśliś prawdziwym synem Judy, Malluchu, i jeśliś jest wierny twemu plemieniu, dostań miejsce na galeryi ponad bramą Tryumfu, naprzeciw filarów i bacz pilnie, gdy będziemy tam zawracali; bacz pilnie, bo jeśli mi się poszczęści... Nie, Malluchu, lepiej, niech słowo to nie zostanie wypowiedzianem!

W tej chwili z piersi Ilderima wydobył się okrzyk:

— Ha! na światłość Boga! Co to jest?

I pokazywał palcem na ostatnie wiersze programu.

— Czytaj! — zawołał Ben-Hur.

— Nie, czytaj raczej sam!

Młodzian wziął pismo, opatrzone podpisem prefekta prowincyi, jako zarządcy igrzysk. Powiadamiało ono publiczność, że igrzyska rozpoczną się wspaniałym korowodem, że potem odbędą się ofiary na cześć bogów, i że po nich nastąpią gonitwy we wskazanym poniżej porządku: wyścigi piesze, skakanie, zapasy atletów i walka na pięści. Dalej szło wymienianie zapaśników z nazwiska i narodowości, szkół, w jakich się kształcili, walk, w których brali udział, nagród zdobytych, i tych, które obecnie ofiarowywano. — Cyfry były wypisane jaskrawemi farbami.

Tu następował opis szczegółowy koni i zapaśników. Ben-Hur niespokojnie przebiegł go oczyma i oto co wyczytał:

»*I. Czwórka Lissypa z Koryntu;* dwa szpaki, jeden gniady i jeden kary; zwyciężyły w zeszłym roku w Aleksandryi i w Koryncie; woźnica Lissypus. Barwa żółta.

»*II. Czwórka Messali z Rzymu*; dwa siwe, dwa kare. — Tryumfowały w zeszłorocznych wyścigach w Wielkim Cyrku. Woźnica Messala. Barwa szkarłat i złoto.

»*III. Czwórka Kleanta Ateńczyka;* trzy siwe, jeden gniady. Były pierwszymi na ostatnich igrzyskach Istmijskich. Woźnica Kleaties. Barwa zielona.

»*IV. Czwórka Dikeasa z Bizancyum;* dwa kare, jeden siwy i jeden gniady. Zwyciężyły w tym roku w Bizancyum. Woźnica Dikeas. Barwa czarna.

»*V. Czwórka Admetusa Sydończyka;* siwe. Trzy razy występowały w Cezarei i trzy razy wygrały. Woźnica Admetus. Barwa niebieska.

»*VI. Czwórka Ilderima, szeika z pustyni*, gniade. Pierwszy występ. Woźnica Ben-Hur, Żyd. Barwa biała«.

Ben-Hur, Żyd!

Młodzieniec zadrżał. Dlaczego to imię, zamiast Arriusa? Teraz dopiero zrozumiał okrzyk Araba. Spojrzeli na siebie i obu przeszła myśl jedna. Była to ręka Messali.

7. Przed gonitwami.

Zaledwie zmrok zapadł nad Antyochią, gdy z Omfalusu, stanowiącego środek miasta, od wschodu i zachodu, jak wezbrany potok, zaczęły płynąć tłumy ludu. Płynęły tak przez umyślnie jakby dla ciżby takiej wzniesione olbrzymie marmurowe korytarze otwarte, ciągnące się przez mil kilka. Zbudowali je, nie dbając o koszta, rozmaici książęta i królowie, co w ten sposób pragnęli unieśmiertelnić swe imiona.

Tego wieczoru w Antyochii tłum ten nietylko różnojęzycznym, lecz był też różnobarwnym. Wszyscy, nawet niewiasty i dzieci, nosili kolory jednego z jutrzejszych współzawodników. Były to bądź szarfy, pióra lub też wstążki. Lecz bez względu na formę, barwa oznaczała życzliwość tego, co ją przywdziewał. I tak: zielona wskazywała stronników Kleanta, Ateńczyka; czarna przyjaciół Dikeasa z Bizancyum; szkarłatna ze złotem wielbicieli Messali; biała wre-

*) Zasiadali tam najprzedniejsi Rzymianie, jako sędziowie wyścigowi.

szcie Żydów i Arabów, co całą dumę i nadzieję pokładali w Ben-Hurze. Odrazu można było zauważyć, że zielona, biała i szkarłatna ze złotem, miały największą przewagę.

Cyrk w Antyochii leżał na prawym brzegu rzeki, prawie naprzeciw wyspy i w niczem się nie różnił od innych ówczesnych cyrków. Był to gmach olbrzymi; tłumy jednak, pomimo objętości tych murów, bojąc się, aby nie zabrakło dla nich miejsca, jeszcze w przeddzień gonitw zapełniły wszystkie place naokoło. Patrząc na nie, wziąłbyś je za obozowisko.

O północy otwarto na oścież wszystkie cztery wejścia do cyrku; lud runął w nie, tłocząc się do miejsc w półkolach, skąd chyba trzęsienie ziemi lub piki żołnierzy mogły go wygnać. Resztę nocy przedrzemali na ławach i tam śniadali nazajutrz, doczekując się gonitw, nienasyceni widowiska po jego zakończeniu, niemniej jak i przed rozpoczęciem.

Możniejsi, ci co mieli zapewnione miejsca, zaczęli podążać do cyrku dopiero około pierwszej godziny dnia. Z miasta napływały coraz liczniejsze tłumy.

Kompas rządowy wskazywał drugą godzinę i połowę, gdy legion w pełnem uzbrojeniu, z rozwiniętemi sztandarami, począł wchodzić do cyrku, a gdy ostatnia kohorta znikła na moście, w Atyochii pozostały tylko mury, ludzi tam nie było.

Cyrk nie mógł pomieścić wszystkich jej mieszkańców, wiedzieli o tem, jednak każdy podążał ku niemu. Na chwilę tylko uwaga publiczności odwróconą została od zbliżających się gonitw, a to, gdy konsul we wspaniałej łodzi przeprawiał się z wyspy na prawy brzeg rzeki. Przy wylądowaniu legion oddawał mu honory wojskowe.

O trzeciej godzinie trąby nakazały milczenie; oczy przeszło stu tysięcy ludzi zwróciły się ku stronie wschodniej budynku. Nad wysokiem podmurowaniem, z łukowatem sklepionem przejściem, znanem pod nazwą Bramy Pompejańskiej, wzniesiona była trybuna, pysznie przyozdobiona w jedne nad drugiemi sztandary; tu konsul zajął miejsce. Po obu stronach łuku znajdowały się stalle dla koni, zamknięte teraz na okute podwoje. Nad niemi biegły balkony; otaczały one zbudowane siedzenia, które zajmowali dygnitarze w świetnych strojach. Cała ta część cyrku osłonięta była od skwaru słonecznego zawieszonem ponad nią purpurowem, olbrzymiem płótnem. Na prawo i lewo główne wejście obszerne z dębowemi wrotami. Naprzeciwko rozciągał się ogromny plac w kształcie elipsy, pokryty cienkim, białym piaskiem, tak zwana arena.

Tu miały się odbywać wszystkie igrzyska, z wyjątkiem gonitw pieszych.

Naprost trybuny wznosiła się marmurowa podstawa, a na niej trzy niskie kamienne słupy z szarego kamienia, żłobione w głębokie karby.

Jest to bowiem pierwsza meta, początek a zarazem koniec wyścigów. Przed nią, bliżej widzów, stoi ołtarz, gdzie mają być złożone ofiary. Poza ołtarzem, przecinając średnicę areny, ciągnie się mur, zwany *spina*, dziesięć do dwudziestu stóp szeroki, pięć do sześciu wysoki, a długi na dwieście łokci. Przy drugim jego końcu wznosi się druga podstawa z trzema słupami, oznaczająca drugą metę.

Rydwany wjeżdżają po prawej stronie od pierwszej mety i mają mur ten po lewej. Drugi mur, piętnaście stóp wysoki, opasuje obwód areny; w murze tym są trzy wejścia: dwa na północ i jedno na wschód. To ostatnie, bogato rzeźbione, zwane jest »Bramą tryumfu«, gdyż po skończonych zapasach prowadzą przez nią zwycięzców z wieńcami na skroniach, w tryumfalnym pochodzie.

* * *

Zagrały trąby, w tłumie zapanowało milczenie. Wszyscy wytężyli wzrok i uwagę. Na wschód, poza Bramą Pompejańską, odzywają się dźwięczne głosy z towarzyszeniem muzyki. Wchodzi chór z korowodem, rozpoczynającym uroczystość. Pretor, zarządca igrzysk i urzędnicy miejscy postępują za nim; wszyscy mają wieńce na skroniach; dalej kapłani niosą posągi bogów, a za nimi idą zapaśnicy, każdy w stroju, w jakim będzie walczył na arenie. Procesya przechodzi zwolna przez arenę, a korowód to wspaniały. Tłum wyraża swój zachwyt okrzykiem, który wznosi się i opada, podobny do wody, co bije o boki płynącej łodzi.

Atleci, czyli siłacze, przyjmowani są gorąco. Imiona ulubieńców rozbrzmiewają w tłumie, spadają na nich kwiaty i wieńce.

Lecz teraz już można zauważyć, że największą ciekawość i zapał budzą gonitwy na rydwany. Składa się na to przepych wozów, niezwykła piękność koni, również jak i same osoby woźniców. Przybrani są w krótkie tuniki bez rękawów, z najcieńszej wełny, w tym samym kolorze, który noszą ich stronnicy. — Każdemu z nich towarzyszy jezdny; jeden tylko Ben-Hur — zapewne przez nieufność — jedzie sam; wszyscy też, oprócz niego, mają na głowie hełmy.

Widzowie powstają na ławkach, hałas wzmaga się, słychać w nim nawet głosy niewiast i dzieci. Z balkonów sypią się wieńce na rydwany. Konie rozdymają chrapy, zadzierają głowy i rzekłbyś, że wiedzą również dobrze, jak ich panowie, iż są przedmiotem zachwytu. Cały cyrk, jak wzorzysty kobierzec, utkany jest pięciu barwami; niema ani jednego widza, coby się w barwę nie przybrał; ten w zieloną, ów w żółtą, tamten znów w niebieską, lecz większość dzieli się na białych i szkarłatnych ze złotem.

I tak szły dalej rozmowy i sprzeczki. Życzenie Ben-Hura spełniło się. Cały Wschód miał oczy zwrócone na jego walkę z Messalą.

8. Wyruszają.

Około trzeciej godziny, według nowożytnej rachuby, pierwsza część widowiska została ukończona; pozostawały tylko gonitwy na rydwany.

Dbały o wygodę publiczności pretor, nakazał przerwę w przedstawieniu. Każdy kto chciał, spieszył na zewnątrz, gdzie roztasowali się przekupnie owoców i napojów chłodzących. Pozostali ziewali, gawędzili.

W przerwie tej pomiędzy gonitwami poczęli się schodzić widzowie, przybywający tu jedynie dla wyścigów na rydwany. Pomiędzy nimi był Simonides, Baltazar i szeik Ilderim. Gdy czterech rosłych niewolników wniosło na krześle kupca, wszystkie oczy zwróciły się na niego. Ktoś w tłumie rzucił jego imię, drugi je powtórzył, i przechodziło ono z ust do ust w całym amfiteatrze. Wspinano się na palce, aby zobaczyć człowieka, o którym krążyły dziwne opowieści, głosząc o nadzwyczajnych powodzeniach i strasznych nieszczęściach.

Poznano też i witano gorąco Ilderima. Lecz nikt nie znał Baltazara, ani dwóch kobiet szczelnie zawoalowanych, które im towarzyszyły. Ludzie usuwali się przed nimi z szacunkiem; odźwierni wskazywali im miejsca z wygodnemi poduszkami przy balkonie.

Niewiastami były Estera i Egipcyanka. Pierwsza patrzyła trwożnie przed siebie, zakrywając się jeszcze szczelniej zasłoną; druga przeciwnie, opuściła welon na ramiona i rozglądała się dumnie i obojętnie, mało jakoby dbając, iż piękność jej pociągała wszystkie spojrzenia.

Zbliżała się już tak gorąco oczekiwana chwila wyścigów na rydwany. Kilku niewolników weszło na arenę i od balkonów, ponad podstawami pierwszej mety, poczęło rozciągać sznur, pomazany kredą.

Rozpoczynało się widowisko. Zagrały trąby. Widzowie rzucili się do swoich miejsc.

Kilku niewolników weszło na *spinę;* przy wschodnim krańcu areny, przed drugą metą, w umyślnie w tym celu urządzonych wyżłobieniach, złożyli oni sześć drewnianych kul, a wróciwszy następnie do pierwszej mety, w takichże wyżłobieniach ustawili siedm wyrobionych z drzewa delfinów.

— Co oni myślą robić z temi kulami i z temi rybami? — pytał Baltazar.

— Czy nie byłeś nigdy na wyścigach?

— Nie, nigdy. I teraz nawet sam nie wiem, po co tu jestem.

— Wiedz zatem, że to dla prowadzenia rachunku. Za każdym razem, gdy rydwany okrążą arenę, zobaczysz, jak jedna taka kula i jedna taka ryba spadnie na dół.

Przygotowania były już ukończone. Trębacz w świetnym stroju wystąpił naprzód, dając znak rozpoczęcia gonitw.

W jednej chwili wśród publiczności ustał gwar i rozmowy. Wszystkie twarze zwróciły się ku wschodowi; wszystkie spojrzenia spoczęły na wrotach sześciu stal, z poza których wyjechać mieli zapaśnicy.

Na bladą zazwyczaj twarz Simonidesa wystąpił żywy rumieniec. Ilderim targał gorączkowo mleczną swą brodę.

— Patrz, patrz! oto Rzymianin — szepnęła Iras do ucha Estery.

Ale Estera nie słyszała. Ze spuszczoną zasłoną i mocno bijącem sercem upatrywała Ben-Hura.

Trąba ozwała się głośno i krótko. Na znak ten sześciu ludzi, po jednym dla każdego rydwanu, wyszło z poza słupów pierwszej mety, gotowych do pomocy, jeśliby który z koni się spłoszył. I znowu trąba dała sygnał; odźwierni otworzyli wrota stajen.

Naprzód wyjechali jezdni — pięciu wszystkiego, ponieważ Ben-Hur nie chciał, aby mu przydano eskortę. Spuszczono sznur, aby ich przepuścić, i zaraz podniesiono go znowu. Siedzieli na pięknych rumakach i przybrani byli wspaniale, lecz mało kto patrzył na nich — ze stal dochodziło rżenie koni i nawoływanie woźniców — wszystkie oczy zwracały się w tę stronę, a uszy łowiły pilnie te odgłosy.

Sznur podniósł się znowu, odźwierni wywoływali nazwiska woźniców.

— Siadać! siadać! — krzyczeli dozorcy na publiczność z galeryi.

Było to, jakby kto chciał gwizdaniem uspokoić burzę.

Wszystkie czwórki, każda ze swej stalli, wypadły jednocześnie, jak śrut ze strzelby. Widzowie w całym cyrku zerwali się z siedzeń i pochylając się na ławach, wykrzykiwali nazwiska swych ulubieńców.

— To on! tam! spojrz! — zawołała Iras i wskazywała na Messalę.

— Widzę go — odrzekła Estera, patrząc na Ben-Hura.

Zarzuciła zasłonę, zapomniawszy w tej chwili nawet o swej bojaźliwości.

Ze wszystkich stron cyrku można było widzieć szermierzy. Za chwilę miał spaść sznur. A był on wyciągnięty dlatego, aby wszystkie konie stały w jednej linii przy rozpoczęciu gonitw.

Dla zapaśników ów sznur był szkopułem niemałym. Pędzić ku niemu groziło tem, iż konie mogły się splątać, gdy, zamiast przed ich łbami, opadnie na karki lub dalej; przeciwnie, zbliżając się do niego powoli, narażało się na utratę miejsca, o które ubiegali się wszyscy, to jest przy murze, przecinającym stadion, czyli przy tak zwanej *spina.*

Ważność tej chwili rozumiała dobrze publiczność, to też po niedawnym zgiełku zapanowała w cyrku grobowa cisza; każdy wstrzymywał oddech, oczy wszystkich zwrócone były w jedną stronę.

Gorące promienie słoneczne oblewały arenę, lecz żaden z szermierzy nie patrzył w tej chwili na pole zbliżających się zapasów, każdy wytężonym wzrokiem szukał tylko sznura. Wszyscy sześciu wypuścili czwórki, hamując je wędzidłem. Przestrzeń do przebycia wynosiła dwieście pięćdziesiąt stóp. Trzeba było bystrego oka, pewnej ręki i wiele zimnej krwi, żeby wyjść zwycięsko z tej pierwszej próby.

Zapaśnicy gnali do muru, każdy chciał stanąć tam pierwszy. Towarzyszyła im burza okrzyków. — Czterech zbliżało się do muru jednocześnie. Trębacz, stojący przy boku pretora, dał sygnał. O dwadzieścia stóp nie można go już było słyszeć. Widząc jednak jego ruch, sędziowie opuścili sznur, a właśnie kopyta koni Messali dosięgały oznaczonej linii. Rzymianin rozwinął bicz, puścił lejce i podając się naprzód, dotarł pierwszy do muru.

— Szczęście z nami! — zagrzmiało wśród jego stronników.

Zawracając, Messala zahaczył bronzowym lwim łbem swojej osi o przednią nogę orczykowego konia Ateńczyka. Przelękłe zwierzę rzuciło się w bok, zawadzając o konia jarzmowego. Czwórka poplątała się i rydwan pozostał w tyle.

Po przejeździe Messali, po prawej ręce Ateńczyka pozostał tylko Lisypus Koryntczyk i w jego stronę Kleantes usiłował zwrócić swą rozbitą czwórkę. Nieszczęście chciało, że koło Bizantczyka, który był pierwszy po lewej ręce, uderzyło o tylną część jego rydwanu, przetrącając nogi woźnicy. Rozległ się trzask, okrzyk wściekłości i przerażenia i biedny Kleantes runął pod kopyta własnych rumaków. Widok był straszny.

Estera zakryła oczy. Lisypus z Koryntu, Dikeas z Bizancyum i Admetus ze Sydonu, przejechali linię.

Gdy Estera, ochłonąwszy z przestrachu, spojrzała znów na plac gonitw, niewolnicy zbierali części strzaskanego wozu i wyprowadzali konie; inni zaś wynosili nieszczęśliwego Ateńczyka. Nie było ławy, zajętej przez Greka, skądby się nie wznosiły przekleństwa i przyzywanie zemsty bogów.

Nagle serce młodej żydówki zabiło silniej, ręce opadły jej na kolana, rumieniec wystąpił na bladą twarzyczkę. Na samym przodzie, obok Rzymianina, pędził Ben-Hur; za nimi zwartym szeregiem Dikeas, Lisypus i Admetus.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jest tak w świecie w którym kraju?



Jest tak w świecie w którym kraju?
Jako w naszej Polsce — w maju?
Czy było tak cudnie w raju,
Jako w maju na Bugaju?
Tak, żem wonią w gaju,
Pytał kwiatów przy ruczaju.
Słonko, wietrzyk, ptaszki, kwiecie,
Odrzekły mi: — Nigdzie w świecie!
W maju, w zimie, ani w lecie,
Co w swym kraju, nie znajdziecie!...

Jantek z Bugaja.

Powstanie w Albanii.

Pisaliśmy już, że mieszkańcy prowincyi tureckiej Albanii zbuntowali się i nie chcą mieć Turka nad sobą. Albańczycy są katolikami, więc zrozumiałe jest, że służenie poganinowi Turkowi jest dla nich przykre. W całym kraju utworzyły się oddziały powstańców, które dzielnie się bronią przed wojskami tureckiemi. Najpierw powstańcy albańscy stoczyli koło miasta Tuzi wielką bitwę z wojskami tureckiemi. Po dwunastogodzinnej walce wojska tureckie poniosły zupełną klęskę i straciły 2000 żołnierzy zabitych a 700 rannych.



Przeciw powstańcom albańskim wysłała Turcya rzeszę wojowników. Wśród gór skalistych, dzikich pieczar i zapadłych wąwozów toczą się zaciekłe walki o zagrabione swobody, o wyzwolenie kraju z pod panowania tureckiego. Z nastającą wiosną podnoszą Albańczycy sztandar buntu, który w potokach krwi usiłuje stłumić rząd turecki. Dzienniki zapełnione są wiadomościami z placu krwawego boju.

Albańczycy przyzwyczajeni do zupełnej swobody, nie mogą się zgodzić na próby młodotureckie, zdążające do odebrania im narodowych swobód, wolności wyznania i niezależności od rządu w Konstantynopolu. Mimo długowiekowej przynależności do Turcyi, Albańczycy w rzeczy samej nigdy dotąd nie zaznali niewoli. Zwierzchność Turcyi nad Albanią — istniała tylko na papierze. Władze tureckie nie docierały nigdy nawet po podatki do siedzib albańskich, pozostawiając im zupełną swobodę pożycia. Dopiero w ostatnich latach rozpoczął rząd młodoturecki stosować swoje zamiary i do Albańczyków. Przeciw niemu buntują się oni tak samo, jak i Arabowie w prowincyi Jemen, zkąd jeszcze teraz nadchodzą głuche wiadomości o krwawych walkach.



O cóż chodzi dzisiejszemu młodotureckiemu rządowi? Dążąc do jednolitości państwa wielkiego proroka (tak Turcy nazywają Mahometa). Rząd wprowadza do wszystkich prowincyi jedne i te same prawa i usiłuje wytępić odwieczne, szczepowe zwyczaje swych poddanych. Albańczykom odebrał prawo noszenia broni, wolność od płacenia podatków i służby wojskowej. Duchowni mahometańcy, zwani mułłami, zaś pragneliby katolickie szczepy albańskie pozyskać do szeregu wyznawców półksiężyca, i w usiłowaniach swoich dopuszczają się niejednokroteie gwałtów. Przeciw zagarnięciu tych swobód, przeciw gwałtom mułłów buntują się szczepy albańskie.

Albańczycy rozpadają się na szereg plemion, różnych wyznaniem, ale zjednoczonych miłością narodowych obyczajów i nienawiścią do rządu młodotureckiego. Illyryjskiego pochodzenia — zatracił naród albański z biegiem lat — swój dawny, pierwotny charakter. Szczególnie w południowej części kraju, która jest mniej górzystą i bardziej dla obcych dostępną — ulegli Albańczycy wpływowi słowiańskich i greckich żywiołów. Wpływ ten znalazł wyraz przedewszystkiem w języku albańskim, który jest mieszaniną illyryjsko-słowiańsko grecką a następnie w religii. Albańczycy przyjęli od Słowian jeszcze w wieku XIII po Chrystusie religię katolicką i pozostali jej wiernymi przez długie wieki. Dopiero kiedy w średniowieczu Turcy zagarnęli półwysep Bałkański — niektóre wschodnie szczepy albańskie porzuciły religię katolicką i przyjęły wiarę Mahometa. Dzikich Albańczyków pociągała do turczyzny — wiara w przeznaczenie, obrządki i piękne domy modlitwy, których sami nie posiadali. Północna przecież Albania pozostała dotąd katolicką i nie zatraciła nic z dawnych swoich obyczajów.

Miłość wolności, żądza zemsty i wierna przyjaźń — oto główne cechy narodowe szczepów albańskich. Rozumieją oni, że należy bronić szczepowych zwyczajów i wolności i bronią ich też z zaciekłością.

Zaciętość z obu stron jest wielka; trudno też przewidzieć, jaki obrót weźmie i kiedy się skończy walka, wielokrotnie zresztą wznawiana przez Albańczyków, przeciw znienawidzonym Turkom.

Powyżej podajemy dwa obrazki. Na jednym z nich widać osobliwy zwyczaj powstańców albańskich.

Gdy do wsi albańskiej przybędzie oddział, aby werbować w swe szeregi mieszkańców miasta, zbliża się ku dowódcy oddziału wójt i na misce białej podaje mleko. Oznacza to, że mieszkańcy poddają się pod władzę powstańców i przyłączają do walki, oraz obowiązują dostarczyć wszelkich zapasów żywności, a tymczasem dają mleko.

Na drugim obrazku widać wąwóz górski, obsadzony przez powstańców, którzy ukryci za skałami rażą ze strzelb i karabinów oblęgające ich wojska tureckie. Strzały te dla Turków są niebezpieczne, gdyż Albańczycy, podobnie jak Czarnogórcy słynni są z tego, że znakomicie władają bronią i kula z ich broni wypuszczona, nigdy prawie nie chybia. W ostatniej chwili, gdy Turcy zbliżą się do skał obsadzonych powstańcami, rozpoczyna się walka na bagnety, śmiertelna w dosłownem znaczeniu, gdyż trwa tak długo, aż jedna strona całkiem legnie trupem lub w ranach.

Bitwa w środku miasta.

Wiadoma to rzecz każdemu, że jedno złe pociąga za sobą dalsze; jedna klęska powoduje inne klęski i nieszczęścia. Bandytyzm, tak rozszerzony w latach ostatnich w Królestwie, lubo obecnie, dzięki surowości sądów, wygasa, niemniej zdarzają się jeszcze śmiałe rabunki i napady, jak np. obrabowanie wozu pocztowego, o czem pisaliśmy w poprzednim numerze »Roli«. Ale nie dość, że to pierwsze złe, to jest napad i rozbój dotyka ludzi, przeciw którym było wymierzone, ale pociąga ono za sobą ściganie bandytów przez policyę i żandarmów, często strzały na ulicy a nieraz oblężenia domów, w których rabusie się ukryli, a na tem cierpią dziesiątki i setki ludzi obcych, spokojnych obywateli. Nieraz też ślepy traf zrządził, że zabłąkana kula ugodziła Bogu ducha winnego przechodnia lub zgładziła biedne dziecko. Podobny wypadek zdarzył się w noc rezurekcyjną w mieście Łodzi w Królestwie Polskiem. Policya oddawna poszukiwała niebezpiecznego rabusia Edwarda Dłużniewskiego, który jako naczelnik bandy zbójów dokonał wielu zbrodni, między innemi obrabował koło Kalisza wóz pocztowy, na 47.000 rubli.

Otóż ów Dłużniewski z kilku kompanami w wielką sobotę wieczór, chroniąc się w Łodzi przed pościgiem policyi, wpadł do domu przy ulicy Widzewskiej, do mieszkania niejakiego Brzeziny, wyrzucił gospodarza z rodziną, a sam z towarzyszami w mieszkaniu się zatarasował. Policya, wpadłszy na trop bandytów, otoczyła dom i wszystkim lokatorom kazała go opuścić. Nastąpiło formalne oblężenie domu, jak podczas wojny. Pod komendą oberpolicmajstra strzelało do okien mieszkania, gdzie rabusie się ukryli i otoczyło dom ze wszystkich stron 55 policyantów, 16 żandarmów, 12 rewirowych. Bandyci z początku na strzały nie odpowiadali, dopiero po jakimś czasie jęli się odstrzeliwać. Zebrały się na ulicy tłumy, zaniepokojone strzelaniem w wielką sobotę, lecz wezwane na miejsce wojsko stanęło murem z obu stron, nikogo w pobliże domu nie puszczając.

Strzelanie z obu stron trwało parę godzin, aż jeden z bandytów, korzystając że była noc, dostał się strychem na dach i tą drogą chciał uciec, lecz dostrzeżony i zraniony, wpadł w ręce policyi. Potem znów odgłos gęstych strzałów rozlegał się dalej po mieście, siejąc trwogę dokoła, aż nagle w ciemnościach jęły ukazywać się z okien domu czerwone języki płomieni.

Dom natychmiast począł płonąć. Zacięci bandyci nie chcąc dać się ująć, podpalili dom; woleli w nim zginąć, niż poddać się. Wezwana straż pożarna zaczęła dom zlewać wodą, lecz nie był już do uratowania; pilnowano tylko, by sąsiednie się nie zajęły. Ten, gdzie zbrodniarze się ukryli, nad ranem spłonął razem z mieniem nieszczęśliwych, ubogich mieszkańców.

Wówczas policya wkroczyła prędko do środka i zastała już tylko trzy zwęglone zwłoki, między którem rozpoznano trupa Dłużniewskiego. Biednymi mieszkańcami domu, którzy zostali bez dachu, bez odzieży i bez sprzętów zaopiekował się dyrektor fabryki, gdzie ci ludzie pracowali. Takie to straszne skutki wydaje bandytyzm; podczas pokoju na ulicy przez całą noc trwała bitwa, strzały, oblężenie; następnie pożar, a wkońcu niedola i nędza ludzi, którzy mieli to nieszczęście, że mieszkali w tym samym domu, do którego schroniła się przed ręką sprawiedliwości garść łotrów.

Gawędy o Różnych Sprawach.

Niema roku żeby nie doszło do jakiegoś powikłania dyplomatycznego między państwami. Raz poraz słyszy się z tego powodu o grożącej wojnie. Niedawno gorąco nam było na myśl, że lada chwila wybuchnie wojna między Austryą a Serbią i Czarnogórą z powodu zabrania przez Austro-Węgry Bośni i Hercegowiny. Jak wielkie niebezpieczeństwo groziło całemu państwu, tośmy się dopiero później dowiedzieli. Wszystko po cichu z jednej i drugiej strony było przygotowane do wojny i potrzeba było tylko pierwszego strzału armatniego, aby może na cały rok rozegrały się armaty, odezwały się dziesiątki tysięcy karabinów i aby się krew ludzka strumieniami polała. Równocześnie przyszło do nieporozumienia z Rosyą i gdyby Rosya nie była osłabioną z powodu przegranej wojny z Japonią, to z pewnością mielibyśmy straszną wojnę. Następnie groziły nie nam ale innym państwom zawikłania z powodu wyspy na morzu Śródziemnem »Krety«, albowiem Kreteńczycy przy pomocy Greków chcieli się wyzwolić zupełnie z pod panowania tureckiego; dalej nieporozumienia z powodu powstania w Meksyku a przed miesiącem groziła wojna między Rosyą a Chinami. Chiny zabraniały przewożenia przez swój kraj towarów rosyjskich, co tak rozjątrzyło Rosyę, że zażądała ostro od Chin, aby zmieniły swoje postępowanie, inaczej należało się domyśleć, że wypowie Chinom wojnę. Chiny do tej wojny już się nawet przygotowały. Teraz ponownie Chiny weszły w zatarg z Japonią i zbroją się gorączkowo do wojny.

Obecnie wrze wśród państw z powodu wypadków w Marokku, państwa w Afryce.

Wybuchło tam powstanie kilkunastu półdzikich plemion, które wyruszyły na stolicę tego państwa, Fez, na sułtana i Europejczyków, i poczęły miasto oblegać. W razie zdobycia czeka niechybna śmierć wszystkich Europejczyków. Dla obrony Europejczyków i uspokojenia kraju wysłała do Marokka Francya około 23 tysiące żołnierzy. Ta ilość wojska wydała się Niemcom tak wielką, że posądzały Francyę, iż chce Marokko zagarnąć dla siebie i podnieść przez to swoją potęgę. Z tego powodu Niemcy skakały jak oparzone i groziły Francyi, że w żaden sposób do zajęcia Marokka nie dopuszczą. Okazuje się jednak coraz bardziej, że Francya tego zamiaru niema. Niemcy boją się każdego wzmocnienia się Francyi, bo przypominają sobie czasy, kiedy Francya im skórę biła i dopiero w r. 1870 udało się Niemcom zadać Francyi klęskę. Wówczas Francya musiała im zapłacić 4 miliardy franków, które wnet wypłaciła. Żadne inne państwo na świecie by tego nie potrafiło tak prędko uczynić, bo wówczas jeden miliard więcej znaczył niż dzisiaj dwa miliardy. Ale też Francya to najbogatsze państwo i jest powszechnie nazwaną bankierem narodów. I rzeczywiście słusznie się tak nazywa, bo dotąd pożyczyła państwom europejskim ni mniej ni więcej jak 36 miliardów franków i pobiera od nich około półtora miliarda samych procentów. I Francya jest coraz bogatsza, bo lud tam jest bardzo oszczędny i pracowity.

Widzimy więc, że wojna ustawicznie grozi, jak nie tu, to gdzieindziej, lecz jakoś ją dotąd w Europie udało się załagodzić. Jedno państwo patrzy ustawicznie drugiemu na ręce, co robi i nie dopuszcza też do takich wybryków, jak to w dawniejszych czasach się zdarzało i państwa nie pozwolą już tak gnębić słabszych, jak n. p. przed stu laty gnębiły Polskę Prusy i Rosya.

Transport cyganów.

(Humoreska).

Pokręcili się cyganie po wsi, niby magnes ściągając do siebie, co się tylko dało. Jednemu wzięli siekierę, drugiemu łańcuch od wozu, temu kurę — i z wyładowanemi tobołami żebrali i cyganili dalej swoim cygańskim sposobem.

Było ich troje: dwóch cyganów i cyganka. Przyszli nareszcie do Kuby Wałowskiego i ściągnęli spodnie, nowiutkie spodnie jegierskie, co sobie suszył na płocie.

Rok niespełna jak Kuba powrócił od wojska i te spodnie przywiózł na pamiątkę i tylko dwa razy wdziewał je do roku, to jest na Boże Narodzenie i Wielkanoc, tak, żeby mu ich aż do śmierci wystarczyło.

Kuba widział jednak kradzież ze szopy szparą, bo powrósła kręcił, wyskoczył czemprędzej z kijem, trochę cyganów potrzepał i ręce im powiązał powrozem z pomocą Walka, sąsiada i odegnał ich do wójta.



Tutaj zrobiono rewizyę. Znalazły się łańcuchy, siekiera i aż trzy kury i spodnie Kubowe, które ledwie znaleziono u cyganki schowane gdzieś pod spodnicą. Spisano protokół, a że to było ku wieczorowi, a aresztu w gminie nie było, zamknięto ich do pustego chlewa u wójta i dobrze zaryglowano.

— Wiesz ty co Kuba — rzecze wójt — dy jutro musisz odciupasować tych cyganów do becyrku; dam ci policyanta gminnego, a ty, jako człowiek wojskowy, to se ty ta juz dos z niemi radę.

— O ja ich dobrze wyegzecyruję: musą bestye iść na »aince« jaz im pięty popuchną — odrzekł Kuba.

Na drugi dzień Kuba się zjawił u wójta i przywdział nawet wojskową czapkę. Policyant gminny już dawno czekał na niego, ale Kuba się nie spieszył, bo wiedział dobrze, że bez niego ani rusz.

Policyant gminy był to Bogu ducha niewinny człeczyna, zwano go ordynacem, listonoszem i policyantem. Trzy razy w tygodniu na pocztę chodził półtory mili, na różne rozkazy do gminy wójt go wysyłał i listy po wsi roznosił. Wypuszczono cyganów z chlewka, klnących na czem świat stoi. Kuba objął komendę, krzycząc:

— »Hap tag!«

— Panie wójcie — zaczął cygan grubym głosem — nam się jeść chce, ja nikej nie idę, bo nie zdolę — i oblegli obozem wszyscy troje.

Ale ostra komenda: »Auf!« i sękaty kij Kuby wnet poskutkowały, że musieli się do drogi zabierać, tylko spozierali na Kubę tak, jakby im rodzonego ojca zjadł. Kilka razy po drodze próbowali różnych forteli, rozbiegając się po rowach, ale bezskutecznie.

Kuba komenderował: »rechs!« »links!« »herstell!« i przy tem kija nie żałował. Tak doszli szczęśliwie do mostu nad potokiem górskim, obrośniętym krzakami. Zaczynał się upał. Cyganka zemdlała na moście, Kuba stracił rezon, cyganie załamali ręce:

— Bójcie się Boga, panie kaprol — mówi cygan śpiewnem głosem — my dalej nie idemy, szukajcie fury, treba kobiete zawieźć przecie jej tu nie odejdemy. Ja już zapłace za furmanke, tylko lećcie na Rany Boskie pilno po furę.

Rada w radę, Kuba posłał policyanta szukać fury. Cyganka nie przychodziła do siebie.

— Zmiłujcie się panie kapral! lećcie po wodę pod most; ona tu skończy, trzeba ją krzysić przecieście katolik.

— To sobie leć sam, pieronie stary i krzyś! Widzisz go! on mnie będzie kazował krzysić tę starą i brudną cygankę! Krzyś sobie sam.

Cygan w tej chwili zniknął pod mostem. — Drugi płakał przy cygance, załamując ręce, że już kona.

— Co ono tak tamtego nie widać, panie kaprol? — biedzi cygan. — Czy nie może wody znaleźć, czy kapelusz ma dziurawy? A prowda, prowda! kapelusz ma jak przetak!...

Kuba tracił głowę.

— Ja polecę ze swojem kapeluszem, bo ona może już nie żyje! — wołał dalej cygan.

— A idź do djaska cygańskie ścierwo! — wrzasnął Kuba.

Cygan puścił się w galop i prosto potokiem począł uciekać w górę.

— »Halt!« — krzyknął Kuba i począł pędzić za cyganem. Cyganie zaczęli go bombardować kamieniami z góry.

— Halt! bo strzelam — woła Kuba.

— Chyba z kija panie kapral — cygan na to. — Panie kapral, macie piękną czapkę z guzikami darujcie nam życie. Bóg zapłać za nic a pamiętajcie o moi żonie na moście.

Kuba przypomniał sobie chorą cygankę, co tchu wraca na most, by choć cygankę doprowadzić do miasta, ale już jej tam nie było: zniknęła jak komfora.

Kuba wracał wściekły do wsi. Cygan za nim zawołał zdala:

— Panie kaprol jesce ja w twoich spodniach będę chodziuł.

— Ocho! — odrzekł Kuba pod nosem i zaklął siarczysto.

Od tego czasu Kuba został nazwany Cygankiem, choć będzie temu lat trzydzieści z górą. Cała wioska nazywa Kubę Cygankiem a jego synów Cygańcakami,

Piotr Lipowiak.

CZARNY ROK.

Powieść ukraińska M. Synoradzkiego.

(Ciąg dalszy).

Przeczekawszy do wieczora, Padyga zakomenderował: »na koń, mości panowie«, zaczem ruszono z miejsca, kierując się wskazówkami Zachara. Jechał staruszek posępny, usta miał zacięte, twarz jakby z kamienia wykutą, tak nieruchomą. Na zapytania szlachty odpowiadał krótko, półsłówkami, albo nie odpowiadał wcale, widocznie bolał srodze.

Aczkolwiek zachowywano jak największą ostrożność, nie chciano bowiem, iżby hajdamacy przedwcześnie o zasadzce się dowiedzieli, wszelako echa roznosiły po lesie odgłos kopyt, rżenie i trzask gałęzi. Na szczęście wicher się porwał szalony i harce jął wyprawiać, głusząc ślady jadących. Jechali tedy nasi towarzysze śmielej, nie obawiając się, iż łotrzykowie usłyszeć ich mogli.

Jechali godzin kilka, aż Zachar konia wstrzymał i przed się ręką wskazując, rzekł.

— Oni tam.

Pomiędzy drzewami migotały światła, zdając się przeskakiwać z miejsca na miejsce. Padyga patrzył na nie chwilę, namyślał się, rzekł wkońcu.

— Ano, mili towarzysze, chwila stanowcza. Polećmy się Bogu i naprzód!

— Naprzód! naprzód! — powtórzyła szlachta jak jeden i kopnęła galopem.

W obozowisku hajdamaków nie przeczuwano napadu, po większej części spali łotrzykowie, niektórzy siedzieli około ognisk, kończąc biesiadę, a raczej obezprzytomniając się gorzałką, gdy szlachta wpadła im na karki. Pijana tłuszcza oniemiała z przerażenia. Napastnicy pojawili się tak nagle, tak nie spodzianie, jak gdyby z pod ziemi wyrośli. Ten i ów do obrony się rzucił, chwytano szable, strzelby, ratunek wszakże był niemożliwy. — Szlachta powitała wystrzałami, przedziesiątkowała łotrów, następnie do szabli się wzięto. Mało który z hajdamaków ocalał, jeżeli nie padł kulą przeszyty lub szablą pokiereszowany, znalazł się na gałęzi, kołysany szalonym wiatrem.

Atamana pochwycono jednego z najpierwszych, wskazał go sam Zachar, który potem usunął się z pola w bok. Związać go Padyga kazał i pod strażą w chacie zostawił, odłożywszy śledztwo do czasu zanim się z tałałajstwem, jak powiadał, porządek zrobi. Jakoż uspokojono się niezadługo, szlachta formalnie odniosła zwycięztwo.

— No, panowie bracia — rzekł Padyga, ocierając pot z czoła — spisaliśmy się gracko. Łotry mają za swoje, a teraz przystąpić trza do najgłówniejszej sprawy, a tą jest: wybadanie herszta tej zbójeckiej bandy.

Sunął ku chacie, za nim gromadnie szlachta, pozostawiwszy dla wszelkiego bezpieczeństwa czterech na baczności. Z Padygą szedł także stary Zachar.

W izbie na ziemi, skrępowany silnie, leżał Hriszka z niepodobną do opisania twarzą. Obrzękłe policzki spąsowiały, włos w nieładzie, usta pokąsane do krwi. Sapał ciężko, mruczał przekleństwy, plwał przed się, miotając rozpaczliwie. Wszedłszy do izby Padyga z góry nań huknął.

— Ano, zbóju ty, łotrze, widzisz, na co ci przyszło!? Wojowałeś długo z nami, masz za to! Przyszła godzina sprawiedliwości, nie wywiniesz się przed szubienicą...

— Wrażу synie!... Lach, sobaka... — mruczał Hriszka.

— Milcz, zwierzu sprośny, bo utłukę! Na miejscu utłukę — pogroził Padyga. — Policzone godziny masz.

Szepnął do swoich, posadzono atamana na ławie, miotającego się wciąż. Padyga naprzeciw siadłszy, w ten sens przemówił:

— Słuchajże ty, niepoczciwy człecze, sam wiesz czegoś wart i jakie winy twoje, przed śmiercią wszakże, dla zbawienia duszy, poprawić się musisz, czego daj dowody, zeznając prawdę przed nami.

— Czego odemnie chcecie... wy... — syknął Hriszka.

— Porwałeś pannę podczaszankę Hryniecką, napadłszy ją zdradliwie. Gdzie ona jest?

Hriszka począł się śmiać przeraźliwie.

— A, o to wam idzie, o to? Nu, nu, prawda, nie wyprę się, żem ją miał, prawda jest.

— Gdzież ona? Gdzie? — dopytywał Padyga.

— Oj! ciekawi wy ludzie Lachy pany. Pytacie gdzie jest? Ano, zarzeźcie mnie, zamęczcie, nie powiem! Nie!

Próbował Padyga wszelakich perswazyi, atoli nie pomogły. Hriszka śmiał się ino, klął, urągowisko w oczy egzekutorom czyniąc. Zniecierpliwiony Padyga rozciągnąć go kazał i sam nahaj wziąwszy, smagał leżącego bez miłosierdzia. Ale i to nie przyniosło żadnego skutku. Hriszka zaciął usta, milczał niby skamieniały. Padydze sił brakło, zaprzestał razów, nie wydobywszy z łotra nic.



Otrząsnął się i szybko przez okno wyskoczył...

— Zawzięta sztuka! — szepnął do swoich. — Niema co, trza z nim inaczej.

Po krótkiej naradzie wypadło, iżby badaniom na dziś pokój dać, Hriszkę w izbie zostawić związanego, zaczem samym wypocząć choć cokolwiek.

— Jutro wymyślimy na niego sposób — mówił Włobodowski. — Łotr może do rozumu przyjdzie.

Nie wątpił nikt, że zdołają od Hriszki wyciągnąć pożądaną wskazówkę.

Pozostawiwszy atamana samego w izbie, szlachta rozlokowała się, gdzie kto mógł, nie zapomniawszy o straży, która miała się zmieniać co kilka godzin. Szlachta zasnęła wkrótce twardo, harce z łotrami utrudziły ją, a spoczywała bezpiecznie, nikt bowiem nie przypuszczał, iżby coś niepomyślnego zdarzyć się mogło.

Nad ranem, ciemno jeszcze było. Zachar, który

acz się na ziemi wyciągnął, oka nie zmrużył, wstał, i ostrożnie do izby, w której pozostawiono atamana wszedł. Kroczył niepewnie, starając się niczyjej uwagi nie zwrócić. drzwi za sobą na skobel zasunął. Hriszka nie spojrzał na wchodzącego, choć nie spał; był pewny, że miał przed sobą którego ze szlachty. Zachar w ramię go trącił.

— Synku, to ja szepnął zcicha.

Z podziwem wielkim poruszył ataman głową, spojrzał na starca niedowierzająco, usta nawpół rozwarł.

— Did? — mruknął. — Skądżeście się wy tu wzięli?

— Synie ty, synie niepoczciwy, przyszła na ciebie godzina zła, ostatnia — zwolna przemówił Zachar. — Doczekała się głowa moja siwa, iżbym cię takim widział?! A! a... pokarał mnie Bóg srodze, pokarał...

— Lachy, psie syny! — zaklął Hriszka — zdradnie wpadli, chłopców mi wytłukli.

— Czekało was to od dawna, boć sprawiedliwość zawdy na świecie okazać się musi.

— Ale skąd wy, didu, tutaj? Jakżeście się tu dostali?

— Z nimi przyszedłem — posępnie odparł.

Oczy Hriszki zamigotały złowrogo, skrzywił usta z wyrazem wściekłości.

— Wy didu z nimi? Wy? Tożeście ich sami może sprowadzili?

Kiwnął potwierdzająco głową starzec.

— Ha! ha! — zaśmiał się Hriszka. — Wyście didu Lachów na rodzonego ściągnęli? Ha! ha! musieli wam czapkami dukaty mierzyć.

— Milcz, ty niecnoto wierutny — surowo przerwał Zachar. — Wyrzekłem się ciebie od dawna, od dawna przestałeś mi być synem. Żaden z rodu naszego łotrowstwem się nie bawił, ty, ty pierwszy, a pewnie i ostatni.

Zamilkł, ataman też się nie odzywał.

— Hriszka — ozwał się stary po chwili walki wewnętrznej — miłe ci życie? Miłe zbawienie duszy? Słuchaj, jednego chcę od ciebie, powiedz gdzie pannoczka, a wolność ci wrócę. Co wskórasz przez upór? Zginiesz marnie, zgubisz i duszę swoją na wieki wieczne. Rzeknij słowo a wolnym będziesz.

— Za jedno mi wszystko — rzekł Hriszka. — Powiem czy nie powiem, obwieszą mnie Lachy. — Wolności teraz nie wrócicie.

— Wrócę, byleś powiedział. Ot, patrz, święte moje słowa, jak teraz powrozy ci rozcinam, tak pewnym bądź wolności.

Dobywszy z pod świty noża rozciął krępujące syna więzy z gorączkową niecierpliwością.

— Powieszże teraz?

Wstał Hriszka, przeciągnął się, okiem po izbie rzucił, oczy mu się rozjaśniły.

— Ano, didu — ozwał się — powiem wam, ale coś innego. Powiem: żeście wy mi nie ojcem, skoroście zdradą Lachów naprowadzili za to, że wam sypnęli dukatów garść, powiem jeszcze, że wolność sam sobie wezmę, nikogo nie prosząc, i to powiem, że o pannoczce niczego się nie dowiecie.

— Hriszka, po raz ostatni przemawiam, w mojej mocy życie twoje, za jedno słowo powrócę ci je.

— Życie moje nie w waszej, a w mojej mocy — odparł ataman, ku oknu izby na bagniska wychodzącemu przystępując. — Lachy śpią, zanim się zbudzą będę od nich daleko.

— Nie pójdziesz, nie pójdziesz — szepnął gorączkowo. — Powiedz, albo krzyknę na Lachów. Powiedzieć musisz.

Chciał starca odtrącić ataman, ten zaś przypiął się do niego jak pijawka. Zawiązała się pomiędzy ojcem a synem zacięta bójka, przyczem ten ostatni roznamiętniał się coraz bardziej.

— Ano, Lachów zwołam, gdy niema innego sposobu — z rozpaczą szeptał Zachar. — Powiedzieć musisz, choć na mękach a powiesz.

Za odpowiedź chwycił Hriszka za gardło starca, potrząsł nim silnie i szałem przejęty porwał za topór leżący w kącie izby.

— Na pomoc, na pomoc — cichym głosem zawołał Zachar.

— Pomocy wołasz, didu, ot tobie pomoc! — syknął rozwścieczony zbój, i to rzekłszy, z całej siły uderzył toporem ojca w głowę.

Padł stary z głuchym jękiem, brocząc w krwi własnej, Hriszka zaś odstąpił, wzrokiem osłupiałym z wściekłości na ofiarę spojrzał, roześmiał się, żachnął i za głowę chwycił oburącz.

Uderzenie topora było tak silne, że zdruzgotało czaszkę, powodując śmierć natychmiastową. Zaledwie krótką chwilę oznaki życia kołatały się w ciele staruszka, westchnął głęboko, potem oczy mgłą mu zaszły, skrzepł.

Czas niejaki stał ataman nieruchomie, nigdy nie doznawał podobnego uczucia, jak w chwili obecnej.

Pierwszy raz od lat wielu uczuł coś w rodzaju wyrzutów sumienia, widok rodzonego ojca, zamordowanego jego własną ręką, na razie przestraszyło go. Trwało to przecież niedługo, myśl o bezpieczeństwie własnem stanęła mu przed oczyma. Otrząsnął się, czoła potarł i szybko przez okno wyskoczył.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Staszkom na wiązanie.

Do Was, dziarskie Staszki i urocze Stasie,
Z życzeniami dziś spieszę na tej naszej „Roli!"
Choć Was kocham i cenię w każdym innym czasie,
Lecz dziś Staszek i Staszka niech mówić pozwoli!

A więc życzę: Niech szczęście w samo kwiecie wonne
Dni Wam, Stasie i Staszki, obficie ustroi,
Niechaj z czoła pospędza wszelkie myśli płonne
I przy progu Wam zawsze i niezmiennie stoi.

O Wy! Staszki i Stasie! niechaj promień złoty
Szczęścia stawa przy każdej przez Was wszczętej pracy;
Niech Wam niesie bez końca, bez liku pieszczoty,
Boście mi tak mili i kochani tacy.

Więc dziś ja Wam oddaję w darze na wiązanie
To, co biedny, tak, jako ja, drugim oddać może,
Jedno tylko ogromne, serdeczne kochanie,
A Ty, mojem życzeniom pobłogosław, Boże!

Antoni St. Bassara.



MACIEK BZDURA GADA:

Jak ino rozgłosiło się po całem bożem świecie, ze ja dałbym się uprosić do kandydowania do parlamentu, to nalazło się do nasy chałpy rozmaitego tałatajstwa, ze jaz gospodyni musieli brać mietłe, coby ich trochę przepędzić. Zlecieli się różne wsiepolaki i socyalisty i nuz mnie nagabywać, cobym do ich stronnictwa przystąpił i la nich kandydował.

Na wsichpolaków zebrała mnie złość, la cego oni mnie mają za takiego drania i do siebie ciągną. Ani ja nie Paduch, ani ja nie Siajer, ani nie Stojałowski, cobym się z niemi wdawał.

Wsiepolaki padają, ze ani rus porządnych ludzi do kandydowania znaliś ni mogą, bo co najmądrzejsi juz dawno od nich pouciekali, a ci co zostali, to ich taki wstyd ogarnął za różne różności ich stronników, ze zza przypiecka głowy wyścibić nie śmią. La tego tez z wsichpolaków ino najgorsi na kandydatów się zgłosili.

No, jesce z temi wsiemipolakami, to tam jesce pół bidy, bo to wszyćko przecie krzcone i jako tako w Pana Boga wierzy, ale gorzej z socyalistami, którzy ani religii nie sanują, ani w Pana Boga nie wierzą, ino się z zydami pokumały i po nase katolickie mandaty pazury wyciągają. Chcieli oni mieć między sobą choć jednego porządnego katolika na omastę i do mnie się, zydowskie syny, zwróciły. Oni myślą, ze ją, Maciek, będę ich zydom moze się wysługiwał i la nich moją uściwą dusę kalał. Mało to oni mają swoich parobków, którzy się wiary nasy święty wyparli i pośli pod cyrwoną płachtę socyjalistycną na wysługi zydom. Tych niech se trzymają, ale odemnie jem wara!

Dali jem tez gospodyni bobu, dali! Jak przysły do nas te obrzezane socyjalistycne duse, tak gospodyni wzięli zarnówice i wyzenęli na śtyry wiatry, a gospodarz tak się tem uciesyli, ze jaz się do gospodyni uśmichnęli.

W cały wsi nastąpiła z ty okazyje radość wielka, bo ciesyła się Kaśka od wójta i Magda Myrdalonka i Bartek Gwizdała. A ja tom taki był kuntentny, choć raz z moi gospodyni, zem jem w tem mig i wody nanosił i siecki urznął i ogony w stajni zaopatrzył.

A to wam cyrwone bękarty, te socyalisty, niedość jem było, ze bez pare lat skubały robotników po miastach, to się jem teraz jesce wsi zachciało, aby z nas najwięcej grajcarów wydusić, by mogli potem za nie po miastach hulać i lamparcić się. Ale niedocekanie ich! póki chłop polski i katolicki chłopem polskiem i katolickiem zostanie, póty zaden socyjalista na wsi nie będzie miał co robić, boby się z niemi wszyćkie gospodynie tak obesły, jak to zrobili moja gospodyni. Niechze se więc socyalisty idą do żydów na Kaźmirz w Krakowie, ale od uściwego Polaka, Maćka Bzdury, jem wara, bo on się z taką hołotą zadawać nie kce i kuniec.

Z TYGODNIA.

Chłopi ruscy przeciw żydom. Przed kilku dniami doszło we wsi ruskiej Karowie we wschodniej Galicyi do rozruchów antysemickich, jakie mogą powstać tylko między ciemnym ludem. Że chłopi ruscy nie lubią żydów, to nic dziwnego; nie lubią ich także i chłopi polscy i wogóle cały świat ich nie znosi a każdy porządny człowiek nic z nimi nie ma do czynienia. Ale dlatego, że się kogoś nie lubi, to jeszcze nie racya, że można na niego napadać, tak czyni najgłupszy wróg żydów i sam się przez to rujnuje i siedzi w więzieniu, mądry zaś będzie chodził tylko do sklepów katolickich, katolikom będzie dawał zarabiać, sam będzie oszczędzał, bo temi zaletami najprędzej pobije wrogów.

A przyszło w Karowie do zajścia z następującego powodu. Podczas świąt wielkanocnych przejeżdżało przez tę wieś dwóch rzeźników żydów z Uhnowa: Schweitzer i Lichter. Parobcy karowscy urażeni tem, że w ich święto żydzi jeżdżą, opadli przejeżdżających i niemiłosiernie ich obili, uprowadzając konie wraz z wozem. Lichterowi zrabowano sześćdziesiąt kilka koron. Żandarmi miejscowi Hertman i Pawlik rozpoczęli dochodzenia dla wykrycia winnych. Cała ludność Karowa zbiegła się u wrót urzędu gminnego i wobec zamierzonych aresztowań zajęła groźną postawę.

Fatum chciało, iż w tym czasie przez wieś zdążał na obrzęd rytualny do ekonoma Nebla rabin Rokach z Uhnowa. Chłopi, spostrzegłszy go, obrzucili bryczkę kamieniami, raniąc dotkliwie woźnicę, Mordkę Szeffla. Rabin zdołał się ukryć przed napastnikami w obok stojącym domku żyda Szrekenhamera. Żandarmi, widząc iż głównym podżegaczem tych napadów jest wójt miejscowy Mikołaj Kot i oglądacz bydła Matwijas, postanowił ich arestować. Tłum przybrał postawę wyzywającą, i uzbrojony w koły i kamienie zaatakował żandarmów i rzeźników, którzy chcieli rozpoznać napastników.

Grad kamieni, skierowany w stronę żandarmów, zmusił ich do cofnięcia w kierunku kancelaryi posterunkowej. Jedynie tylko niezwykłej roztropności żandarmów zawdzięczyć należy, iż ekscesy te nie zapisały się krwawo w dziejach Karowa. Na wiadomość o tem z Uhnowa natychmiast podążyło sześciu miejscowych żandarmów. Pomoc ta jednak okazała się za słabą, aby bez przelewu krwi ująć napastników. W kilka godzin przybyli żandarmi z Rawy Ruskiej i okolicznych posterunków i nadkomisarz starostwa p. Tyszkowski, który, przewidując groźne następstwa, natychmiast telegraficznie zażądał wojska.

O godz. 12 m. 30 w nocy stanęło już w ordynku bojowym pół kompanii 90 pp. pod dowództwem kapitana Szmidta. Wieś otoczono patrolami i zaraz od godziny 8 rano w asystencyi 18 żandarmów i przybyłego wojska rozpoczęto dochodzenia.

Na podstawie zeznań poszkodowanych i obu żandarmów karowskich aresztowano wójta Nikołę Kota, oglądacza bydła Matwijasa i 23 chłopów w wieku od lat 15—25, w czem 8 popisowych, i natychmiast odstawiono ich pod ochroną wojska do sądu w Uhnowie.

O godz. 2 popołudniu na miejsce zajść zjechał radca namiestnictwa Zimny w towarzystwie starosty rawskiego p. Thürmana. Zbadawszy sytuacyę p. Zimny przemówił do zebranego przed kancelaryą gminną tłumu, wzywając go do spokoju i większej kontroli nad wybrykami młodzieży, które mogą pociągnąć za sobą bardzo groźne następstwa. Po wycofaniu wojska pozostało 6 żandarmów, aż do chwili zupełnego uspokojenia.

Tak się to smutnie skończył ten lekkomyślny krok chłopów ruskich, ale każdy mądrzejszy mógł to przewidzieć, bo żleby było, aby kulturalne państwo pozwalało na takie napady i nie pilnowało porządku.

Odczyt o ubezpieczeniu. W niedzielę dnia 23 kwietnia w gminie Łodygowice, w powiecie żywieckim, odbył się w tamtejszej czytelni odczyt o korzyściach i potrzebie ubezpieczenia od ognia, gradu i na życie. Wygłosił go przybyły z Bielska urzędnik krakowskiego Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń. Podczas kazania w czasie sumy ks. kanonik Miodoński zachęcał obecnych w kościele włościan do najliczniejszego udziału w odczycie. To też zaraz po nieszporach zjawił się w wielkiej sali czytelni w Łodygowicach zastęp najpoważniejszych miejscowych i okolicznych gospodarzy. Po odczycie kilka krotnie zabierał głos ks. wikary Chrobisz oraz wielu włościan, żywo zainteresowanych doniosłością asekuracyi, zwłaszcza od ognia. Jak ważną jest ta sprawa, jak koniecznem, aby każdy nasz rolnik był najrychlej ubezpieczony, przekonali się mieszkańcy Łodygowic zaraz nazajutrz t. j w poniedziałek 24 kwietnia, gdyż dnia tego zgorzały tam doszczętnie dwa gospodarstwa, z których tylko jedno było asekurowane. W ubiegłych tygodniach zaś w powiecie żywieckim, w Oczkowie, zgorzało 6 chat i należących do nich zabudowań gospodarskich, wszystko to było nieubezpieczone.

Bardzo są pożądane odczyty i wykłady po wsiach naszego kraju, zwłaszcza takich, gdzie ludność w znacznej jeszcze części jest nieubezpieczona. Smutnym tego przykładem jest spalenie się 24 kwietnia w Sidzinie 12 gospodarstw nieubezpieczonych, a w gminie Zdrochec (pow. brzeski) 26 domów wraz z budynkami gospodarskimi (przeważnie nieubezpieczonych) o czem donosimy w dzisiejszej kronice.

Niespokojna rzeczpospolita. Portugalia, takie sobie wielkie państewko, jak nasz kraj Galicya, stała się bardzo rewolucyjną. Jakby ją kto oblał ukropem, tak ciągle krzyczy i ciągle jej niedobrze. Niedawno była monarchią, lecz zdetronizowała króla i jest teraz rzeczą pospolitą. Wszyscy myśleli, że się już uspokoi, lecz oto znów rozpoczyna walkę i to już porywa się na sam Kościół katolicki i papieża.

Uchwalić ma wkrótce ustawę o rozdziale Kościoła od państwa, to znaczy, że nie chce mieć żadnej religii państwowej, nie będzie się o religię katolicką troszczyła i nie pozwoli, aby papież bezpośrednio wydawał rozkazy do podwładnych sobie biskupów, jak dotąd, lecz musi się przedtem pytać o pozwolenie rządu portugalskiego. Chce przez to powiedzieć, że państwo jest wyższe nad Kościół i nie Kościół państwem, ale państwo Kościołem będzie rządziło. Nauka religii nie ma być obowiązkową, lecz kto chce, to się jej może uczyć, lub ją wyznawać. Nie potrzeba być bardzo wielkim uczonym, żeby nie wiedzieć, że takie zarządzenia nie mają sensu, bo przecież ta sama Portugalia chce, aby miała porządnych i uczciwych obywateli, nie chce mieć złodziei, rabusiów, morderców itp. A przecież nie inna tylko religia katolicka mówi: nie będziesz kradł, zabijał itd. Niezawodnie więc, jeżeli religię katolicką Portugalia ograniczy i powie, że kto chce, to się jej może uczyć lub nie, to będzie daleko więcej złodziei i rabusiów, bo kto się Boga nie boi, to się tem bardziej nie boi i człowieka lub państwa. Wszystko to robią masoni i żydzi, aby tylko Kościół poniżyć, lecz w swojej zawziętości sami nie zdają sobie sprawy, że robią źle dla siebie i dla państwa, gdyż gdzie religii niema, tam panuje grzech i zbrodnia.

KRONIKA.

Na św. Stanisława. Dnia 8 maja przypada dzień św. Stanisława Szczepanowskiego, świątobliwego biskupa, który zginął w Krakowie, w kościele na Skałce, śmiercią męczeńską z rąk króla Bolesława Śmiałego. Imię to od szeregu wieków doznaje takiej czci w całej naszej ojczyźnie i tak jest powszechnie lubiane, że udziela się go na życzenie rodziców przy chrzcie św. bardzo wielu chłopcom. Tysiące i tysiące żyje w naszych miastach i po siołach naszych dorosłych, podeszłych wiekiem i młodocianych imienników świętego biskupa. Wśród licznej już rzeszy naszych czytelników w Galicyi, na Śląsku i w Poznańskiem wielu nosi też to imię. Niechajże w dniu imienin przyjmą od »Roli« serdeczne życzenia wszelkich pomyślności i niechaj ją z największym pożytkiem w najdłuższe lata czytają!

Dodatek wyborczy. Spełniając życzenia wielu Czytelników, począwszy od numeru dzisiejszego wydawać będziemy co tydzień osobny dodatek, poświęcony sprawom wyborczym. Drukować tam będziemy artykuły o obowiązkach i prawach wyborców, o kandydaturach stronnictw, o zgromadzeniach i t. p. Wierni zasadzie, której trzymamy się w »Roli«, że szkodliwą jest polityka, która ludzi rozjątrza i waśni ludzi, także w **Dodatkach Wyborczych** nie będziemy umieszczali niczego, coby mogło przynosić szkodę zgodzie powszechnej.

(J. H.) **Pożar w Sidzinie.** Dnia 24 kwietnia wybuchł pożar w zabudowaniach plebańskich w Sidzinie koło Jordanowa. W płomieniach pożaru zniszczała szkoła, plebania, Kółko rolnicze, organistówka i kościół. Wszystko się paliło jak siarka; mury popękały, dzwony spadły i stopiły się. Oprócz tego spłonęło jeszcze 12 domów ze stodołami i ze wszystkiemi narzędziami gospodarczemi i zapasami obsiewku i potrawu. Szkoda na razie nie obliczona, ale nie pomoże ani 100 tysięcy koron, żeby chcieć to naprawić, a 16 rodzin bez dachu i chleba.

Kościół w Lutowiskach. Między Liskiem a Turką leży w górach miasteczko Lutowiska, z sądem, urzędem podatkowym, szkołą 4-klasową, lecz bez kościoła. Polacy katolicy mieli z Lutowisk 2 mile złej drogi, a z wiosek górskich po 3, 4, nawet 5 mil drogi do kościoła parafialnego. Wskutek takiej odległości od kościoła żyli w wielkiem zaniedbaniu i opuszczeniu, a setki z nich zmieniło obrządek i narodowość. Wreszcie, po wielu i długich staraniach utworzono w listopadzie 1905 r. nową parafię w Lutowiskach dla całej okolicy aż do granicy węgierskiej. Trudno opisać, jak wielka radość wstąpiła w serca biednego i zaniedbanego ludu polskiego, kiedy przybył do nich kapłan, aby dla ich dobra pracować. Wszyscy z ogromną gorliwością wzięli się do dalszej pracy, aby wybudować kościół. Tymczasem na wydzierżawionym gruncie urządzono barak z desek i w nim odprawia się służba Boża. Usiłowania wszakże ubogiej parafii nie zdołają dzieła doprowadzić do skutku, wobec czego komitet budowy kościoła zwraca się do wszystkich Polaków i katolików z prośbą, choćby o najdrobniejsze datki, aby uzupełnić skromne dotychczas fundusze, przeznaczone na wzniesienie tak upragnionego w Lutowiskach i okolicy domu Bożego.

Pożar. W Zdrochcu (pow. brzeskim) w niedzielę, dnia 23 kwietnia w południe, kiedy większa część mieszkańców nie powróciła jeszcze do domów z nabożeństwa z kościoła w Radłowie o 8 kilometrów oddalonego, wybuchł w zabudowaniach gospodarczych włościanina Paździora w gminie Zdrochec nad Dunajcem pożar, który przy silniejszym wscho-

dnim wietrze, pomimo nadludzkich wysiłków i rozpaczliwej obrony okolicznych straży pożarnych i ludności miejscowej, zniszczył 26 domów i prawie tyleż stodoł i stajen. Szkoda z powodu, że wielu gospodarzy nie było ubezpieczonych jest bardzo znaczna i dla mieszkańców Zdrochca tem dotkliwsza, że ci, zakupiwszy przeszłego roku stosowną parcelę, przystępowali do budowy własnego kościoła, która znaczne koszta za sobą pociągnie. — Przyczyną pożaru było nieostrożne obchodzenie się z ogniem przez chłopaków.

(T. G.) **Karygodna lekkomyślność**. Ze Szczawnicy piszą nam: W dniu 24 kwietnia zdarzył się w Szczawnicy bolesny wypadek, spowodowany lekkomyślnością i nierozwagą. W dniu tym jest w Szczawnicy święto parafialne św. Wojciecha. Gdy po nieszporach wychodzili ludzie z kościoła, chłopaki, podrostki poczęli rzucać kamieniami w parku »na Miedzuniu«. Jeden kamień ugodził w głowę młodego parobka tak nieszczęśliwie, że wybił mu oko. Nieszczęśliwy, choć i tak już niebogaty, utracił jeden ze skarbów, jakimi Pan Bóg ludzi darzy. — Lekarz tutejszy Dr. Kołączkowski udzielił nieszczęśliwemu pierwszej pomocy, a na drugi dzień odwieziono go do Krakowa, do szpitala św. Łazarza, ażeby drugie oko ratować. Oto są skutki płochych i lekkomyślnych igraszek po drogach i ulicach.

Krwawy czyn żołnierza. Zdarza się często, że młody człowiek pokocha dziewczynę, ta jednakże nie może odwzajemnić mu równie gorącem uczuciem. Albo kocha innego, albo ten, któremu wpadła w oko, nie podoba się jej i wyjść za niego nie chce za żadne skarby świata. Trafne też jest przysłowie: »Serce nie sługa, nie zna co to pany«... Rozumny i szlachetny młodzieniec, gdy dziewczyna mu nie sprzyja, nie prześladuje już jej dalej swą miłością, lecz godzi się z losem i zawód swój przeboleje. Wielu jednak nie daje pokoju swym wybranym i jeśli nie prośbą, to nawet groźbami odebrania im życia starają się nakłonić je ku sobie. Podobnie zachowywał się niejaki Jan Kramarczyk, żołnierz 20 pułku piechoty w Krakowie wobec Anny Drożdżównej z Limanowej, służącej w Krakowie. Dziewczyna, której serce nie skłaniało się do Kramarczyka, postanowiła w końcu zejść mu z oczu, służbę w Krakowie opuścić i wyjechać. Obawiając się zaślepionego swą namiętnością żołnierza, prosiła swej pani, aby ją w sobotę odprowadziła na kolej. Poszły więc razem około godziny 1 w południe na dworzec kolei, w drodze jednakże zauważyły, że Kramarczyk ich śledzi. Na kolei Kramarczyk przystąpił do Drożdżównej i powiedział, że jej nie pozwoli wyjechać z Krakowa. Gdy ta wszakże kupiwszy bilet, miała już wejść do wagonu, żołnierz rzucił się na nią i pchnął ją trzykrotnie bagnetem w plecy, poczem usiłował umknąć. Przytrzymano go jednak po chwili, a dziewczyną, która padła obroczona krwią, zaopiekowało się pogotowie lekarskie. Odwieziono ją do szpitala św. Łazarza w stanie bardzo niebezpiecznym z powodu znacznego upływu krwi. Kramarczyka oddała policya władzom wojskowym. Odpowie on ciężko za zbrodnię i surowo będzie ukarany.

Cyganie kradną dzieci. Włóczęgoski ten naród, chociaż swoich dzieci ma podostatkiem, kradnie jednak niekiedy dzieci po wsiach i miasteczkach, co nie jest wcale bajką, którą straszy się dzieci. Niedawno w okolicy Lwowa, gdzie zawędrowali cyganie, pewien wieśniak w dziewięcioletniej dziewczynce poznał córeczkę swego krewnego, któremu przed paru laty dziecko w niewiadomy sposób zginęło. Cygankę, która dziecko ukradła, aresztowano.

(Z. B.) **Pożar od strzału.** W poniedziałek wielkanocny dnia 24 kwietnia, gdy lud modlił się w cerkwi, wybuchł pożar w wiosce Tylawie (p. Krosno), który zniszczył 23 zagrody włościańskie. Pożar powstał od strzału pistoletowego, z których młodzież strzelała; padł strzał w strzechę słomianą i zniszczył mienie wieśniaków.

Z życia bandyty. Przed niedawnym czasem doniosły gazety, że na Węgrzech natrafiono na ślad pewnego niebezpiecznego bandyty, którego życie całe było jednem pasmem zbrodni, i że go żandarmi po zaciętej walce zdołali ująć. Był on od młodości postrachem wsi i miasteczek węgierskich. Oczywiście grabieże i złodziejstwa nie uchodziły mu zawsze bezkarnie. Wiele lat wysiedział w kryminale, do którego kilkakrotnie powracał. Lecz ilekroć go opóścił, zamiast jąć się pracy, przeklęta żyłka zbrodnicza nie dawała mu spokoju; zawsze albo kogoś okradł, albo obrabował, a potem dostawał się do więzienia. Tak dożył 50 lat wieku, z których może połowę przebył za kratkami. W ostatnich pięciu miesiącach po ograbieniu karczmy i zamordowaniu właściciela, nie mogły władze trafić na jego ślad, aż niedawno temu w pewnem miasteczku opodal Budapesztu zdołano osaczyć go w domu kompana, który dawniej z nim rabował na spółkę. Czterech dzielnych żandarmów miało nielada pracę, zanim dostali się do wnętrza, zbrodniarze bowiem mieli strzelby i prażyli ich ogniem z okien. Żandarmi wszakże przez kilka godzin trzymali się od oblężonego domu w odpowiedniej odległości, z powodu czego żaden nie zginął, jeden tylko odniósł lekką ranę. Wkońcu złoczyńcy przestali strzelać, zamknęli okna i okiennice i wszystko wewnątrz domu ucichło. Żandarmi słusznie sądząc, że wystrzelali już zapewne wszystkie naboje i nie mają się czem bronić, postąpili bliżej i przy pomocy miejscowych ludzi przypuścili szturm do drzwi.



Silnie zabarykadowane drzwi długo opierały się naporowi ramion ludzkich, wreszcie przy użyciu siekier zdołano je wywalić i dostać się do wnętrza. W pustej izbie, oświetlonej lampą wiszącą u pułapu, stał ów bandyta z wymierzoną do strzału fuzyą. Drugiego nie było, zapewne zemknął na strych. Gdy żandarmi weszli, również mierząc weń z karabinów, bandyta rozjuszony, z dzikim wzrokiem i rozwichrzonemi włosami, ryknął na powitanie:

— Stać, bo strzelam!

I już, już zdawało się, że pociągnie za cyngiel i jednego z żandarmów na pewno położy trupem na miejscu. Lecz skończyło się na zdradzieckiej pogróżce. Strzelba zbrodniarza nie wypaliła. Wobec tego i żandarmi użytku z broni nie zrobili, lecz rzucili się na bandytę i po chwili zaciętej walki skrępowali go. Teraz niebezpieczny ptaszek siedzi znów w kryminale i wyrok sądowy zapewne nie dozwoli mu go

już opuścić. Obrazek nasz przedstawia chwilę, gdy żandarmi z wymierzonymi karabinami wkroczyli do schroniska złoczyńcy.

(A. S.) **Straszna zemsta.** W Kosinie, pod Łańcutem, dwaj żołnierze, którzy przybyli na urlop i dwaj cywile, mający po 18 lat, zamordowali chłopaka, który wystąpił ze służby wojskowej w jesieni 1910 roku. Chłopak ów zalecał się do jednej dziewczyny, z którą miał wziąć ślub, ale rodzice wzbronili mu z nią związku małżeńskiego, tak on odstąpił od niej, a zalecał się do innej. Otóż ci dlatego, że odstąpił od pierwszej, która była ich krewną, ażeby się pomścić, zasiedli na czaty, a gdy ten wracał od swojej narzeczonej o 1 godzinie po północy dnia 16 kwietnia tj. w Wielką Niedzielę i zaledwie uszedł dziesięć kroków od domu, uderzyli go kilka razy kołami, aż upadł na ziemię. A gdy jeszcze głowę podnosił, tak go jeszcze raz uderzył któryś z napastników, że się już więcej nie podniósł. Mordercy, wiedząc, że ich czeka zasłużona kara, postanowili uciekać. Żołnierze odjechali zaraz po spełnieniu zbrodni do Jarosławia, zaś cywilni uszli ze wsi. Takiej to zbrodni dopuścili się, pozbawiając życia tak niewinnego.

Obłąkany maszynista kolejowy. Gazety wiedeńskie opowiadają, że maszynista kolejowy Franciszek Hlikan zatrzymał pociąg kolejowy w pobliżu stacyi Hüttedorf i zeszedł z lokomotywy, szukając czegoś pod jej kołami. Ponieważ we wzroku maszynisty malowały się objawy wielkiego zaniepokojenia i przestrachu, towarzysz jego, placz Singer, zwrócił się doń z zapytaniem:

— Czego szukasz?

— Pst — mruknął maszynista i dodał cichym głosem: Bandyci podłożyli bombę na szynach kolejowych, lecz otrzymałem prywatnie wiadomość o zamachu. Mam nadzieję, że nie minie mnie wysoka nagroda...

Podczas tej rozmowy wysypały się z wagonów szeregi podróżnych, których zaniepokoiło nagłe zatrzymanie pociągu. Palacz wyjaśnił im powody, poczem rozpoczęto poszukiwania bomby. Szukano jej długą chwilę, lecz nie znaleziono niczego podejrzanego. Maszynista pociągu twierdził jednak w dalszym ciągu, że bandyci muszą stanowczo kryć się w pobliżu, a skoro zwrócono mu uwagę, że niema przecież nikogo, rzucił się na ziemię i zaczął płakać. Obecni przy zajściu próbowali go uspokoić, maszynista jednak pokopał kilku podróżnych, a jednego z nich boleśnie ugryzł w rękę. Wtedy skrępowano go i odstawiono do szpitala w Wiedniu, gdzie lekarze stwierdzili u niego obłęd.

(L. K.) **Nowe pokłady węgla** odkryto w Zarzeczu przy Strumieniu, na Śląsku austr. Dotarto do 1000 metrów głębokości i znaleziono trzy łożyska węgla w grubych warstwach. Pierwsza warstwa w głębokości 300 m. daje węgiel jakości górnośląskiego węgla. Druga warstwa ma skład węgla karwińskiego, a trzecia w głębokości 300 m. jest najlepsza i najgrubsza. Prawo wiercenia w całym obwodzie strumieńskim zyskał baron Rotschild. Obecnie mają się zacząć próby wiercenia w gminach Bąkowie, Zbytkowie i Zarzeczu w celu sprawdzenia czy karwińskie pokłady węgla są w łączności z górnośląskimi. Na razie jednak węgla nie będzie się tu dobywać. Baron Rotschild nie chce robić konkurencyi dla swego węgla.

Dzwony częstochowskie. W jednej z warszawskich odlewarni dzwonów zamówiono trzy dzwony dla świątyni Jasnogórskiej. Jeden dzwon wagi 20.000 funtów, drugi 10.000 i sygnaturka 250 funtów. Na ziemiach polskich (oprócz »Zygmunta« w katedrze na Wawelu w Krakowie) niema większego dzwonu nad wagę 14.000 funtów. Dzwonnica przy kościele częstochowskim, w której będą zawieszone nowe dzwony, ma być podwyższona w roku bieżącym o piętro. Stary dzwon, wagi 8.000 funtów, osadzony na tej dzwonnicy, pozostanie na miejscu.

Krwawa uczta wilków. W ostatnich numerach »Roli« pisaliśmy o zuchwałości wilków w Rosyi podczas ubiegłej zimy. Przytoczyliśmy parę groźnych wypadków, ten wszakże, o którym dziś opowiadamy, straszniejszym jest nadewszystko, o czem Czytelnicy nasi już się dowiedzieli. W południowej Rosyi we wsi Obstipow, wydawał bardzo bogaty włościanin córkę za mąż. Nie dziw, że weselisko zapowiadało się huczne i sute i że gości była moc. Gdy na trzydziestu wozach wyruszył cały orszak weselny, złożony ze 120 osób do miasta Taszkentu do cerkwi, ze śpiewaniem i w najlepszych humorach, naraz, niedaleko za wsią, olbrzymia masa wilków rzuciła się z wściekłem wyciem na fury. O skutecznej obronie wobec setek wygłodzonych bestyj, mimo, że niektórzy strzelali z fuzyj, inni prali przyskakujące do wozów wilki kołami, nieszczęsne weselisko ani myśleć nie mogło! Wilków, jak pisały rosyjskie gazety, były setki! Rzuciła się ta ćma dzikiego zwierza naprzód na konie, w oka mgnieniu je pozagryzała, a te, które uciekać jeszcze mogły, dopędziły wilki wnet i to samo z niemi zrobiły. Dopiero z całą wściekłością reszta wilków, która nie mogła do koni się docisnąć, rzuciła się na ludzi. — Wskakiwały zuchwale na wozy, drapały się na siedzenia, a na miejsce tych, co padły ogłuszone uderzeniami grubych kołów, wskakiwały inne i ze zwleczonych z wozu ludzi robiły sobie na czerwonym od krwi śniegu straszliwą ucztę!



Co się tym nieszczęśliwym, pozbawionym pomocy a skazanym na niechybną śmierć od kłów wilczych dziać musiało, to opisać się nie da; na samą myśl człowiek truchleje ze zgrozy. Koniec krwawej przygody był taki, że, jak zapewniają rosyjskie gazety, wszyscy ludzie padli ofiarą wilków, ocalał tylko jeden wieśniak i jedna kobieta. Ci zdołali w największej trwodze uciec do wsi, podczas gdy wilki cały orszak weselny rozszarpywały. Takie wypadki, jak opisany, nie zdarzają się często nawet w dzikich krajach. Ten jest tak przejmującym, iż może rząd rosyjski w okolicach najbardziej przez wilki podczas zimy zagrożonych, pomyśli o skutecznem tępieniu tej strasznej plagi. Obrazek nasz jest smutną pamiątką tego okropnego wypadku; widać na nim walkę z wilkami na jednym wozie. A wozów takich było trzydzieści i na każdym nieszczęśni do ostatka walczyli z zaciekłemi bestyami, aż wszyscy, z wyjątkiem dwojga, stali się ich pastwą!

„Opuchnięty" czeladnik. Na granicy czesko-bawarskiej wydarzył się zabawny wypadek. — Przechodzący drogą żandarm austryacki ujrzał idącego przylegającym do drogi rzadkim lasem młodego człowieka z tobołkiem na plecach. Podróżny,

dziwnie gruby i niezgrabny, szedł powoli, jakby bardzo zmęczony i rozglądał się ostrożnie dokoła. Gdy spostrzegł żandarma, przyspieszył kroku. To wydało się stróżowi bezpieczeństwa podejrzanem, zbliżył się więc do nieznajomego. Ten, uchyliwszy kapelusza, pozdrowił go uprzejmie i zaraz płaczliwym głosem zaczął się skarżyć, że jest biednym czeladnikiem, wraca z Bawaryi do Czech, przebył pieszo daleką drogę, bo pieniędzy nie miał — i jęczał i stękał przytem co niemiara. Żandarm, spojrzawszy bystro na jego spodnie, pełne dziwnych guzów nad kolanami i na łydkach, na brzuch opakowany i odstające piersi, odrazu zrozumiał, że ma do czynienia z przemytnikiem. Zapytał go jednak niby ze współczuciem:

— Cóż ci właściwie jest, dobry człowieku? Co ci dolega? Czy to z powodu dalekiej podróży tak ci nogi, piersi i brzuch nabrzmiały?

— Ach, nie inaczej, panie wachmistrzu, cały jestem opuchnięty! Nie wiem z jakiej przyczyny — i gdy tylko zajdę do domu i trochę odpocznę, muszę zaraz pójść do szpitala!



Żandarm pokiwał głową.

— To mi cię bardzo żal — odrzekł — ale tu niedaleko jest lekarz, ten z pewnością da ci takie lekarstwo, że puchlina na nogach i na całem ciele odrazu ci zniknie. Chciałbyś iść do niego? Ja cię zaprowadzę.

— O, łaskawy panie wachmistrzu — jęknął podróżny — chętniebym poszedł, ale bardzo mi się spieszy do domu, a daleka droga czeka mnie jeszcze. Moje uszanowanie panu. I ukłonił się nisko.

Wówczas żandarm, już z poważną miną, zastąpił mu drogę.

— Nie grajmy w ślepą babkę, mój ptaszku — rzekł surowo — pójdziesz teraz ze mną na posterunek i tam przekonamy się, czem takeś się wyładował.

Nic nie pomogły prośby i błagania przemytnika, musiał udać się z żandarmem na posterunek, gdzie kazali mu się rozebrać i oto wyjaśniło się, że »opuchnięcie« pochodziło od licznych paczek towaru, który przemycał do Czech. Poczem, już bez śladów »puchliny«, prościutki, zgrabny i cienki, poszedł — do kozy. Obrazki nasze przedstawiają tę przygodę przemytnika, który sądził, że żandarm uwierzy w jego opuchnięcie.

Miłość matki. W Belgii, w pewnej wsi, trzyletnie dziecię, bawiąc się, zaszło aż na szyny kolejowe. Wtem znajdująca się opodal matka spostrzegła, że nadjeżdża pociąg. Rzuciła się w oka mgnieniu, aby porwać i uratować dziecię, lecz niestety w tejże chwili pociąg już nadjechał i pod kołami lokomotywy razem z dzieckiem zginęła biedna matka. Miłość macierzyńska, nie licząca się z niebezpieczeństwem, zgotowała jej śmierć, którą jednak biedna zapewne chętniejby przyjęła, jak stratę ukochanego dziecka.

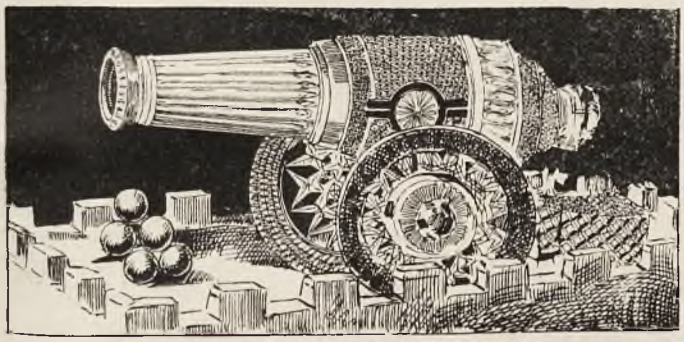
Sześćdziesiąt dni o głodzie. Zwykły człowiek musi trzy razy na dzień jeść, aby mieć siłę do pracy. Po kilku dniach nieprzyjmowania pokarmów człowiek jest tak osłabiony i chory, że na nogach utrzymać się nie może. Bywają jednak wyjątki, że nawet kilkunasto lub kilkudziesięciodniowy post mogą niektórzy wytrzymać, poczem żyją dalej zdrowo. Tacy »głodomorzy« pokazują się nawet za pieniądze. Gazety amerykańskie donoszą, że w tych dniach w jednym ze szpitali w Nowym Jorku, niejaka Anna Geschella, pochodząca z Austryi, w wieku 40 lat, przez 60 dni nic nie jadła, wypiła tylko w ciągu tego czasu tylko 4 szklanki mleka i zjadła jednę pomarańczę. Post jej skończył się niedawno i »głodomorka«, zupełnie zdrowa, wróciła do dawnego trybu życia. Podobno głodziła się o gruby zakład, który oczywiście wygrała.

Z krainy „czarnej śmierci“. Obecnie mniej gazety podają wiadomości o straszliwej zarazie w Mandżuryi, na którą pomarło tam w zimie wiele tysięcy ludzi, przedewszystkiem Chińczyków, nie przestrzegających czystości tak w mieszkaniach jak w odzieniu, oraz wierzących w zabobony, mające uchronić od dżumy; zamiast słuchać nakazów lekarzy europejskich i japońskich. »Czarna śmierć« wszakże do dziś tam nie wygasła i dziesiątkuje dalej ludność chińską; dzięki wszakże surowym przepisom lekarskim, których wykonania pilnują władze, siła strasznej choroby znacznie się zmniejszyła. Na pierwszym naszym obrazku widzimy rozległy plac w mieście Charbinie, w dzielnicy chińskiej, gdzie w ostatnich miesiącach z ogólnej liczby 40.000 mieszkańców zmarło na dżumę 34.000, a i z pozostałych sześciu tysięcy znaczna część leży już powalona chorobą. Na placu leżą konający na dżumę tak jak padli, zwaleni z nóg siłą zarazy; wśród nich krzątają się lekarze europejscy w umyślnie na ten cel sporządzonych płaszczach ochronnych, niosąc pomoc a raczej ulgę w cierpieniach nieszczęsnym.



Drugi obrazek — to niemniej smutne i bolesne widowisko. Oto na innym placu, pod strażą żołnierzy rosyjskich, odbywa się palenie ciał zmarłych na dżumę. Trupy poukładane, jeden na drugim, jak grube drwa w sągach; co chwila z ulic, zaułków Charbina i dróg okolicznych znoszą dalsze zwłoki, układają na stosy, zlewają naftą i podpalają. Jeszcze okropniej dokonywa się niszczenia zwłok zmarłych na dżumę w innych okolicach Mandżuryi. W skalistą przepaść górską wrzuca się oblane naftą drwa, potem na nie stosy »zadżumionych« trupów i wszystko to się razem podpala. Następnie nad tę samą przepaść zwożą dalsze zwłoki tych, co zginęli tą okropną śmiercią, wrzuca się je tam i znów oddaje na pastwę ognia. I tak płoną te nieszczęsne kopce ciał ludzkich i końca temu niema, bo tknięci zarazą padają dalej na drogach, ulicach, przed domami, wszędzie, gdzie straszna śmierć ich w swe nielitościwe szpony pochwyciła.

Armata ze szkła. Pod względem niezwykle pięknego wykończenia wyrobów szklanych, pierwszeństwo w całym świecie od wieków dzierżyły miasta włoskie, przedewszystkiem Wenecya. Nigdzie, ani w Niemczech, ani we Francyi, nie doprowadzono sztuki wykonywania prześlicznych naczyń i ozdób ze szkła tak wysoko, jak w Wenecyi i innych miastach włoskich. I po dziś dzień Włochy pod tym względem mają pierwszeństwo, chociaż i w innych krajach huty szklane bardzo piękne rzeczy wyrabiają ze szkła.



W Turynie, mieście włoskiem, pewien szlifierz szkła w jednej z tamtejszych fabryk zadawał sobie niemało trudu przez lata całe, aby zrobić ze szkła armatę. Jakie to musi być cacko, widać już na naszym obrazku. Ile wszędzie kunsztownych rzeźb, ozdób! A dodać trzeba, że armatka robiona jest ze szkła różnokolorowego. Oczywiście, że jest to tylko dzieło wielkiej zręczności i sztuki, wykonane na pokaz, a nie przedmiot praktyczny, bo, rzecz prosta, że z takiej armaty się nie strzela.

Święcenie niedzieli. O pobożności i ścisłem wypełnianiu praktyk religijnych w Szkocyi świadczy następujący wypadek. Pewien uczony niemiecki podczas pobytu w mieście Glasgowie odwiedził jednej niedzieli przed południem znajomego Anglika, Wiliama Thompsona. Na odgłos dzwonka u drzwi wyszła służąca i gościowi oznajmiła, że pana w domu niema. Gdy obcy zapytał, gdzieby o tej rannej porze mógł się znajdować, rezolutna dziewczyna odparła: »Oczywiście że w kościele na nabożeństwie, gdzie też i pan powinien być o tej godzinie!«

Skruszony złodziej. I wśród zatwardziałych, nałogowych złodziei znajdują się tacy, którzy miewają chwile poczucia własnej winy i oddają wówczas rzeczy zabrane. Zdarzyło się parę razy w Warszawie, że złodzieje okradli biednych studentów, zabrawszy im wszystkie ubrania i bieliznę. Studenci podali ogłoszenie do gazet tej mniej więcej treści: »Uprasza się panów złodziei o zwrot rzeczy skradzionych przy ulicy X., w kamienicy pod Nr. X., gdyż należą do studentów nie mających obecnie żadnego prawie odzienia ani pieniędzy, za które by sobie nowe mogli sprawić«. Skruszeni złodzieje w parę dni oddali skradzione rzeczy właścicielom. Podobny wypadek zdarzył się teraz w Ameryce w Nowym Jorku. Tam złodzieje okradli zamożną rodzinę, zabrali srebra, wiele kosztowności i złotą broszkę, mieszczącą małą fotografię córki owych państwa. W parę dni po kradzieży panienka otrzymuje list, w którym złodziej oznajmia, iż żałuje z całego serca kradzieży, której się dopuścił i podaje adres zakładu zastawniczego, gdzie skradzione kosztowności a z niem i ową broszkę zastawił. Do wyznania winy — pisał złodziej — skłoniła go niewinna twarzyczka panny i poczciwe oczy, jakie ujrzał na fotografii, będącej w złotej broszce. W końcu listu złodziej zapewnił, że choć długo trudnił się przestępywaniem siódmego przykazania, to jednak od tej chwili będzie uczciwym i porządnym człowiekiem, tak go skruszyła dobroć i uczciwość oblicza młodej właścicielki broszki. Oczywiście okradziona rodzina udała się zaraz do wskazanego przez złodzieja zakładu zastawniczego i zabrane kosztowności wykupiła.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Adam Jesionek w Ch.: Wiersz otrzymaliśmy — dobry, jak zwykle. — Jantek z Bugaja: Kalendarz wydamy swego układu i nakładu, utwory do niego już przygotowujemy i gromadzimy. — Teofil Tryczyński w N.: Nadesłany utwór umieścimy. — Ludwik Guzek: Wiersz o wyborach bardzo słuszny, więc skorzystamy z niego. — »Bolesław« w Z.: Zagadki umieścimy. — Władysław Biedroń w P.: Nadesłany wiersz jest zupełnie dobry i będzie w »Roli« drukowany. Niestety, tak mało miejsca mamy, że wiele prac dobrych czeka cierpliwie swej kolei. — Wojciech Szocik w D. M.: Gawędę ludową otrzymaliśmy. — Ignacy Warzała w Ł.: Zapewne przez pomyłkę opuszczono w spisie. Obecnie nadesłana zagadka dobra. — Wawrzyniec Pietrucha w Rz.: Czasem musimy nieco zmienić, ale to nic nie szkodzi. — Szymon Toboła w Ch.: List rzeczywiście zaginął, ale poczyniliśmy starania i odnaleźliśmy. Wskutek tego »Rolę« wysyłamy dopiero od 1 kwietnia, wobec czego ma Pan zapłaconą prenumeratę do 1 kwietnia 1912 r. Dwa dolary doszły. — Wojciech Jaworski w Ch.: Wierszyk przyszedł — dziękujemy. —

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 2 maja:

Buhaje	Kor.	180	do	200	za sztukę
Woły	„	--	„	—	„
Krowy	„	200	„	260	„
Jałówki	„	100	„	240	„
Cielęta	„	22	„	80	„
Owce i kozy	„	20	„	25	„
Świnie (bita waga)	„	136	„	160	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 2 maja:

Pszenica	Kor.	11·60	do	12·40	za 50 kg.
Żyto	„	7·95	„	8·40	„
Jęczmień	„	8·25	„	9·75	„
Owies	„	8·50	„	9·—	„
Otręby pszenne	„	5·40	„	5·60	„
Otręby żytnie	„	5·15	„	5·25	„

Potwierdzenia prenumeraty:

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP: Wojciech Buczak z N. (2 K.), Pelczar Jan z K. w. (3 K.), Kółko rolnicze Stróża (4 K.), Rogoziński Wawrzyniec z B. (3 K.), Cezary Haller z J. (3 K.), Jan Wękler z K. W. (3 K), Wincenty Fejkiel z K. W. (3 K.), Michał Bałchan z B. (3 K.).

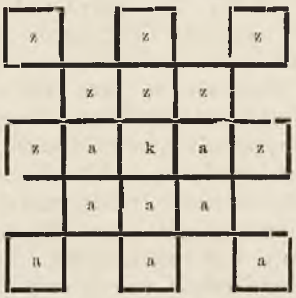
Każdą reklamacyę wraz z reklamowanym numerem posyłamy do dyrekcyi poczt we Lwowie.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Zagadki do nagrody.

1. ŁAMIGŁÓWKA.

(Nadesłał Franciszek Krzanowski z J. p.).



Powyższe litery poustawiać tak, by czytane na krzyż z góry na dół i z dołu do góry, oraz na krzyż na ukos z góry na dół i z dołu do góry dały wyraz jednaki.

2. SZARADA.

(Nadesłał Józef Waszek z J.).

Pierwsze, to liczba wysoka,
Druga, to drzew ważna podstawa,
A całość, to ludziom
Różne daje prawa.

3. ZAGADKI.

(Nadesłał Michał Radwański).

a) Co to za drzewo, co zimą i latem
Zawsze z jednakowym kwiatem?

b) Co bywa nad nami
Do góry nogami?

c) Nasz brat taki chwat,
Że pod ziemią sobie chodzi
I dukaty z niej wywodzi.

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy do wylosowania jak zwykle dwie książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 13 maja 1911 roku. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nr. 17 *Roli*: 1. Łamigłówka: **Jaka praca, tyka płaca,** 2. Szarada: **Karakony,** 3. Kwadrat: **Rola, oset, Lena, atak,** 5. Zagadka: **Kij.**

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.:

T. Rąpała z J., W. Dziwisz z W r., J. Głowacz z Ż., A Babiak z U., Zarząd Kółka rolniczego z B., J. Hopcias z B., J. Stelmach z R., M. Zięba z O. b., F. Teper z M. K., K. Szeliga z B., A. Kardysz z Ż., K. Żyła z F., J. Szybowicz z S., J. Gaber z W. t., Baranowska z B., J. Waszek z J., A. Małecki z Ś., W. Flis z L. g., J. Kieliszek z M. sz, J. Hirszberg z K., J. Kobylański z L., F. Klocek z N. T., F. Żebrok z B., J. Kobylańska z B., A. Kała z Ch., M. Pietryka z B., S. Bronikowski z M. G., J. Łyczak z H., K. Welc z T., R. Kula z M. K., Kółko rolnicze z S. m., T. Czernek z C., P. Juroszek z I., P. Grudek z B., M. Dudek z Ż., B. Zachariasiewicz z K., J. Spławiński z J. p., W. Kalityński z P., K. Broda z R., W. Trębacz z K., P. Pantowski z P., F. Dziadek z W. G., J. Burghardt z S., F. Chrzan z H., F. Kowalowski z F., J. Płodzień z Ch., F. Seradzki, Michał Zdziebłowski z P. W. (wierszem), Jan Ermel z R., Antoni Kościelny z Szcz., Ignacy Warzała z Ł., Wojciech Szocik z D. M., Antoni Kucharczyk z P., Karol Baron z P., Adam Jesionek z Ch., Wawrzyniec Pietrucha z Rz., Franciszek Markiewicz z S., Piotr Bednarz z T., J. Gasiński z B, Wiktor Buchwald z M., Józef Lebuda z B, Marya Radlmesserówna z S., Franciszek Sojka z Z., Adela Bezokówna z K. M., H. Łukawski z J., Piotr Gajoch z P., Jaś Pasek Błotnicki z D., Anna Hetper z B., Fabian Święch z O., Jan Moś z Cz., Barbara Siwkówna z G. S. (wierszem), Arkadyusz Szarek z S. W., Józef Kulka z B. (wierszem).

Pierwszą nagrodę p. t. ***Mali Samarytanie*** wylosował **Jaś Pasek Błotnicki** z D., zaś drugą p. t. ***Baśnie*** Andersena p. **J. Kieliszek** z M. Sz.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**
Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.